

Biblioteka najnowszych powieści i nowel.

~~~~~  
PIOTR SALES.  
—————

572

# Sierżant Renaud

z cyklu p. t. „MŁODA FRANCYA”

*z francuskiego przetłumaczył*

L. M.

CZĘŚĆ PIERWSZA.



Antoni Zubrzycki  
Włosek 700 Włosek.

—————  
LWÓW. 1900.

~~~~~  
Drukarnia narodowa St. Maniecki i Spka.

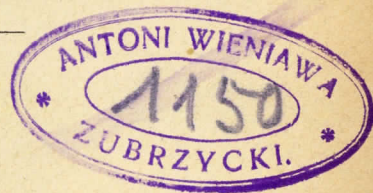
BIURO DOKUMENTACJI WYDAJENIA
przy K. O. S. B.
w Białymstoku

572

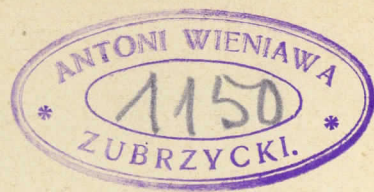
840-3

SIERŻANT RENAUD.

Część pierwsza.



Zubrzycki
Antoni von Wieniawa.



I.

Matka i babka.

Niezwyczajnie i naprawdę podziwienia godne ożywienie panowało dnia 29. sierpnia 1884 rano w olbrzymim magazynie bielizny i robót kobiecych przy ulicy du Sentier.

Znany jest ten magazyn wspaniały nie tylko kupcom i zaopatrującym się tam, ale i wszystkim cudzoziemcom, przybywającym regularnie po sprawy do Paryża. Ściągały ich tam wprost cudowne roboty, wykonane czarodziejskimi rączkami robotnic, roboty, które jeszcze na długie — długie lata, zapewnią stanowczo zawsze pierwsze miejsce gustowi paryskiemu.

Olbrzymi ten magazyn, należący do pani Maryi Renaud, wymieniają zawsze z chlubą Paryżanie jako przykład szybkiego a uczciwego do-

robienia się majątku, powstałego bez wszelkiej nieuczciwej spekulacji czy wyzysku. Mozolna, żmudna a zapobiegliwa praca zwykłej niegdyś robotnicy, uwieńczoną została w rezultacie milionami.

Rzecz doprawdy nie do pojęcia a jednak niezmiernie prosta i naturalna. Było to tak. Pani Marya Renaud pracowała przed dwudziestu laty u pani Wehler, właścicielki słynnego w owym czasie magazynu robót kobiecych przy ulicy du Chlery. Pani Wehler, podeszła już wówczas staruszka poczęła powoli związać przedsiębiorstwo, a równocześnie dopomogła swej ulubienicy Renaud założyć podobny, choć na razie skromny tylko magazyn. Wszystkich swych najlepszych klientów powoli odstąpiła magazynowi swej pupilki Renaud, której zaczęło się nie na żarty dobrze powodzić.

Marya Renaud była w owym czasie śliczną, młodą i świeżą kobietą, którą znano jako wdowę i matkę małego, śliczniutkiego chłopczyka. Mężczyźni przepadali za piękną panią Renaud, choć ta trzymała się od nich zdaleka. Nazywano ją żartobliwie powszechnie „panienką” z ulicy du Clery.

Tymczasem „panienka” z ulicy du Clery żyła spokojnie wraz ze swą matką, obie oddane

wyłącznie tylko pracy i wychowywaniu śliczniutkiego chłopczyka. Magazyn tymczasem rozwijał się w niebywały i wprost podziwienia godny sposób. Tyle wciąż było zamówień, że starsza pani Renaud nieraz załamywała ręce z tragicznym komizmem i wołała:

— Ależ my absolutnie nie podaliśmy temu wszystkiemu!.. to stanowczo za wiele!..

— Może być, że to za wiele — odpowiadała wówczas Marya — ale podać się jakoś musi.

Wówczas zdumiewała swą matkę tym prostym, jasnym sposobem myślenia, z jakim przystępowała do wykonywania swych planów. Bo Marya Renaud marzyła wciąż tylko o bogactwie dla swego syna, pozbawionego ojca. Była nawet pewną, że celu swego dopnie.

Oto w trzy miesiące niespełna była już w możności przeniesienia swego sklepu na ulicę du Sentier, gdzie właśnie był magazyn dawniej pani Wehler. Odtąd już szczęśliwy los zrobienia fortuny przez panią Renaud był zdecydowany. Stanowczo była już na jak najpewniejszej drodze do zrobienia ogromnego majątku. Mnóstwo mężczyzn, nawet urodzonych i z dużą pozycją, robiło jej propozycję małżeństwa. Mimo nalegań babki, odrzuciła wszystkie oferty.

Jedyne swe szczęście widziała tylko w swym synu, który tymczasem rósł wspaniały, silny i piękny, ujmował zaletami umysłu i serca i w nim odradzał się dla niej z zadziwiającem podobieństwem człowiek, który niegdyś tak gorąco był przez nią ukochany.

W lat dziesięć po przeniesieniu magazynu na ulicę du Sentier, pani Marya Renaud była już na tyle bogatą, że mogła sobie pozwolić na kupienie wielkiej kamienicy przy tejże ulicy du Sentier.

Wiadomość ta zelektryzowała stan kupiecki w Paryżu; zazdrozczono pięknej właścicielce wspaniałego magazynu, ale też ją i podziwiano. Bo też trzeba było uchylić czoła przed tą kobietą niezwykłą, zawsze młodą, zawsze dystygowaną i mimo rosnącego wciąż bogactwa, prowadzącą wciąż ten sam skromny tryb życia, chodzącą zawsze skromnie, zawsze tylko w czarnej, choć z wdziękiem, po angielsku skrojonej sukience. Jedyną ozdobą pani Renaud była złota obrączka, którą wciąż nosiła na palcu, bo ją dostała niedys od swego ukochanego nad wszystko Jana Berthier.

Pani Marya Renaud była tedy w całości oddana wychowaniu swego najdroższego syna. Ach jakże

ona go kochała a raczej, jakże one obie go kochały... Dla starszej pani Renaud i jej córki istniał jeden tylko temat rozmowy i wiecznego przekonywania się, a to: która z nich bardziej go kochała. Starsza przypisywała tę wyższość wyłącznie sobie, obwiniając matkę dziecka o zbytnią względem niego surowość. Marya bowiem rzeczywiście z całą energią poskramiała najmniejszy wybryk chłopca, obdarzonego swoją drogą z natury niepohamowanym temperamentem. Bo ona chciała z niego uczynić „człowieka“.

Nie pozwalała mu przytem zbyt pracować i od dzieciństwa baczyła nań, aby mógł zawsze swobodnie wybiegać się po świeżem powietrzu. Chłopak uczył się doskonale, uczył się wprost z zapalem. Serdeczny jednak dla wszystkich, którzy go otaczali, wpadał w największą pasję, żeby mu się kto w najdrobniejszej rzeczy sprzeciwił. Wówczas dość było jednego spojrzenia matki, by się zupełnie uspokoił.

Raz tylko jeden stał się powodem jej bólu, gdy dochodząc do pełnoletności zapytał pewnego razu:

— Mamo, gdzie jest teraz mój ojciec?...

— Umarł!.. — odpowiedziała Marya nie mogąc jednak opanować silnego wzruszenia.

Starsza pani Renaud korzystając z takiego obrotu rzeczy, usiłowała nakłonić córkę do małżeństwa, ale i tym razem na próżno.

— Cóż jednak odpowiesz swemu synowi, gdy będziesz zmuszoną wyznać mu całą prawdę?... — pytała starsza pani Renaud.

— Wyznam mu ją!... — odpowiadała pani Marya, usiłując być przytem zupełnie spokojną.

A jednak chwila ta wydawała jej się tak straszną, że instynktownie czyniła wszystko, żeby ją jak najbardziej opóźnić.

— A zatem ojciec mój nosił to samo nazwisko, co moja babka?... — pytał znów przy innej sposobności młodzieniec.

— Tak!... — odpowiedziała Marya, zbierając wszystkie swe siły do tego kłamstwa — tak... był to daleki jej... krewny...

Jan właśnie w tym czasie kończył nauki. Do otrzymania świadectwa dojrzałości trzeba było przedłożyć odnośne dokumenta rodzinne. Marya sama zajęła się dostarczeniem tych nieodzownych papierów, sama zaniósła je do sekretarza ministerium oświaty, sama też je odebrała po złożeniu przez Jana egzaminu, tak, że on nigdy nie miał sposobności ich przegłądać.

Aż wreszcie nadszedł czas obrania przez Jana

jakiegoś zawodu. Na pierwszą o tem wzmiankę, uczynioną przez matkę, odpowiedział bez namysłu Jan:

— Wstąpię do Saint-Cyr!...

Saint-Cyr!... To znaczy, że syn jej poświęci się karierze wojskowej, a tem samem narazi się na śmierć, jak niegdyś jego dziadek; Saint-Cyr, to znaczy, że obiera sobie zawód najniebezpieczniejszy w sprawach honoru.

— Nie, nie, wszystko byle nie to!... — wykrzyknęła. I tyle rozpaczy było w jej oczach, tyle prośby macierzyńskiej, że Jan postanowił przezwyciężyć się i zmienić swój zamiar.

— A więc czem, chcesz, abym został mamó?... — pytał, patrząc na nią z poddaniem się — zawsze mię nauczałaś, że człowiek bogaty nie jest godnym swych bogactw, gdy nie poświęcił się wprzód pracy.

Marya zamyśliła się przez chwilę, wreszcie rzekła:

— Wybór zawodu jest zbyt poważną kwestyą, mój synu, żeby się na nią można tak prędko zdecydować. Jesteś tak młody, możesz jeszcze nadal się kształcić, a jeśli chcesz posłuchać mojej rady, to najlepiej zacznij podróżować, najwięcej podróżować!...

— I opuścić cię matko?...

Marya powstrzymała łzy, gwałtem cisnące jej się do oczu i rzekła:

— Dotąd nigdy nie rozłączaliśmy się, mój drogi, ale teraz sędzę, że to jest nawet konieczne!...

I... Jan odjechał.

W podróży tych nawet mocno zasmakował. Podobny tryb życia, swobodny, wichrowaty, a nawet do pewnego stopnia hazardowy, dogadzał jego nie znoszącemu zależności i do pewnego stopnia awanturniczemu usposobieniu.

W ten sposób upłynęło lat kilka

Maryę zaczęła już w końcu nużyć ta ciągła nieobecność syna, na którą przecież sama dla jego szczęścia się zgodziła. Przyrzekła nawet matce, że gdy syn z ostatniej swej podróży do Indyi wschodnich wróci, nie pozwoli mu już tak prędko oddalać się z domu.

Na razie obie były zajęte odczytywaniem bezustannych i długich listów Jana. Gdy przyszedł tylko list nowy, wówczas książki rachunkowe wielkiego magazynu przy ulicy du Sentier były mocno zaniedbywane. To też jeżeli dnia 29 sierpnia 1884 rano panowało w tym olbrzymim magazynie ogromne ożywienie i ruch, to znak, że

przyszedł nowy list od podróżującego młodego pana.

Obie kobiety właśnie siedząc w swych apartamentach zajęte były jego odczytywaniem.

List brzmiał następująco:

„Do mojej dobrej i ukochanej mateczki...

„Do mojej drogiej babuni..

„Zdaje mi się, że widzę was obie w waszym gabinecie, jak pograżacie się nad odczytywaniem mego listu i w myślach łączę się z wami czułym, serdecznym uściskiem, prosząc gorąco o przebaczenie, że list ten nie jest jeszcze zapowiedzią mego powrotu“.

— Jaki? — przerwała czytanie babka — on jeszcze nie myśli wracać?...

Marya uspokoiła ją gestem i czytała dalej, nie przeczuwając, na jak okrutną próbę będzie wystawioną za chwilę.

„W ostatnim liście doniosłem wam, że zatrzymałem się na Ceylonie, skąd miałem następnie udać się do Pondichery, Madrasu i Kalkuty, a stamtąd już zapuścić się do Indyi angielskich.

Ceylon zrobił na mnie ogromne wrażenie; olśniony jestem jego położeniem i bujną roślinnością. Czuję się jednak już tem umęczony kompletnie i wyczerpany, odpoczywam tedy i przyrzekam

sobie, że podróż, którą teraz przedsięwzię, będzie już moją ostatnią.

Potem postanowiłem natychmiast powrócić do was, tak mi drogich i do mojej ukochanej Francji. Strasznie jestem dumny, że jestem Francuzem. Okazuję to na każdym kroku. Z drżeniem witam też zawsze moją trójkolorową flagę. A ja jej już tak dawno nie widziałem.

Pojmiecie tedy moją radość, gdy pewnego dnia okręt francuski zawinął do Colombo. Nazywał się „Sanghalien“ i wiozł cały oddział wojska francuskiego do Tonkinu.

Odbywałem właśnie zwykłą przechadzkę nad brzegiem morza, zatopiony w myślach o was, gdy wtem spostrzegłem barwy me narodowe na okręcie, przypływającym do brzegu. Mimowoli na to oczy me zasłzy łzami, serce mi zabiło żywiej, zupełnie jak gdybym samą Francję już czuł pod nogami. Wkrótce oficerowie i żołnierze wyszli na ląd wraz z kilku dziennikarzami, wysłanymi wraz z armią dla sprawozdań wojennych.

Patrzyłem na nich, siedłem za nimi, miałem ochotę pomówić z którymś, a zobaczywszy kilka łódek, odpływających ze świeżemi zapasami do okrętu, bez namysłu wskoczyłem w jedną z nich, odczuwając nieprzepartą potrzebę znalezienia się

na pokładzie, by choć przez chwilę stąpać po rodzinnym gruncie. Jeden z majtków oprowadził mię po całym okręcie. Z rozrzwinięciem wielkiem przypatrywałem się znajdującym się tam żołnierzom, jadącym tak daleko bronić honoru swej ojczyzny a oni zgromadzeni na pomoście rozmawiali wciąż wesoło... swobodnie... ci dobrzy... szlachetni żołnierze!...

Powróciłem samotny i smutny na wyspę, lecz zamiast udać się do hotelu, położonego w głębi wyspy, zamieszkałem w porcie, aby nie stracić widoku tak mi drogiego okrętu, póki nie odpłynie.

Przez całą najbliższą noc oka zmrużyć nie mogłem. Podróż do Indji angielskich rozwiła się całkiem przedemną, jedynem mojem marzeniem był teraz Tonkin.

Pozwalałaś mi matko iść zawsze za głosem fantazyi, nie przypuszczam tedy, by zamiar mój sprawił ci jakąkolwiek przykrość. Niestety wówczas ani na chwilę nie odczuwałem wszystkich następstw tego kroku.

Zaraz na drugi dzień kazałem się spakować, podjąłem z banku przesłaną mi przez Ciebie sumę i jeszcze w południe znajdowałem się na pokładzie „Sanghalienu“.

W parę minut opuszczałem Ceylon.

Wszyscy dotychczasowi podróżnicy na Ceylon podziwiali bogatą roślinność tej wyspy. I . . . ją z początku podziwiałem. Dziś cieszyłem się, że już mi znika z oczu.

Nazajutrz, po opuszczeniu kajuty, machinalnym prawie gestem powitałem pierwszego spotkanego na pokładzie oficera.

Odkłonił mi się nader uprzejmie pytając:

— Czy pan jesteś francuzem?

— Tak jest — odpowiedziałem dumnie — jestem Francuzem!...

Duma ta jednak moja w tym wypadku zupełnie była nieusprawiedliwioną. Uczuwałem nawet pewien rodzaj wstydu przed tym pułkownikiem, który mimo schyłku jego służby wojskowej, niósł za ojczyznę życie swe w ofierze. A potem... byłem cokolwiek zdziwiony, iż pułkownik ten przypatrywał mi się wciąż z więcej niż widoczną ciekawością. Sądząc, że mu przypominam któregoś ze znajomych, chciałem podtrzymać rozpoczętą rozmowę, lecz pułkownik zaledwie zamieniwszy słów parę ze mną, oddalił się szybko i znów samotnie począł się przechadzać po drugiej stronie okrętu.

Jakiś majtek, który obserwował całą tę scenę, odezwał się do mnie:

— To nadzwyczajne, iż pułkownik rozmawiał z panem!...

— Dlaczego?

— Bo nigdy do nikogo słowa nie przemówi..

Zaciekawiony, zacząłem obserwować pułkownika i zauważyłem, że w istocie trzymał się zdala od swoich kolegów, milcząco odpowiadając na ukłony, nie obdarzając żadnego oficera nawet słowem zwykłej zdawkowej grzeczności.

Cała odtąd moja uwaga skierowana była na tego człowieka. Jakaś nieprzeparta sympatya ciągnęła mnie ku niemu i myślałem sobie, jak to można być dumnym, gdy się służy pod takim komendantem.

Po obiedzie pułkownik zamknął się w swojej kajucie. Nazajutrz zerwałem się równo z braskiem. Pułkownik już znajdował się na pokładzie. Zbliżyłem się do niego z ukłonem. Odkłonił się uprzejmie, następnie spytał mnie o nazwisko i cel podróży. Gdym mu opowiedział, w jaki to sposób znalazłem się na pokładzie tego okrętu, odrzekł surowo:

— Postąpiłeś nierozważnie, mój chłopcze, odbierając spokój tem twej matce!

Potem dorzucił spiesźnie:

— Wybacz, że ośmielam się krytykować twój

postępek, nie mając do tego zresztą najmniejszego prawa. Ponieważ jednak powodowałeś się jednak tak szlachetną pobudką, jak mi to przed chwilą przedstawiłeś, przeto — jako sam Francuz — mogę ci tego szczerze powinszować! Czy masz ojca?

— Nie panie, nie znałem go nawet w dzieciństwie i nie pozostało mi po nim nawet żadne wspomnienie!

Pułkownik zadumał się przez chwilę. O czem mógł myśleć? Twarz jego przyoblekła się smutkiem. Może nasunęło mu się jakie przykre wspomnienie? Wreszcie z pewnym wysiłkiem odrzucił w tył swą szlachetną głowę i ścisnąwszy mi rękę rzekł z lekkim uśmiechem:

— Przebacz mi pan, jeśli kiedykolwiek odezwał się do niego może zanadto poufale. Twarz twoja przypomina mi mego jedyne serdecznego przyjaciela, którego dawno już straciłem...

— Jakże jestem szczęśliwy z tego zbiegu okoliczności — odrzekłem, serdecznie ściskając pułkownika — gdybyś pan mnie zechciał traktować jako swego towarzysza podróży... bo ja tu nie znam nikogo na okręcie...

Pułkownik uśmiechnął się znowu swoim zagadkowym uśmiechem i rzekł:

— To chyba w te dni, w których będę mniej stetryczały...

Żegnając mnie, wręczył mi swoją kartę. Spojrzałem i wyczytałem na niej:

Pułkownik hr. de Brettecourt...

Nazwisko to było mi znane. Znał je każdy niemal Francuz. Należało ono do człowieka, który spieszył tam, gdzie trzeba było pierś swą nadstawić za ojczyznę.

Więcej już z pułkownikiem nie mówiłem tego dnia. Chodził wprawdzie wciąż po pokładzie okrętu, ale był wciąż smutny i jakby widocznie mnie unikał.

Za to następny dzień spędziliśmy razem. Sam wprawdzie pułkownik mówił mało, ale zmuszał mnie do ciągłego opowiadania swych przygód i widocznie badał stopień mego wykształcenia.

W kilka dni potem przybiliśmy do Singapore. Pułkownik pozwolił towarzyszyć sobie na lądzie i oprowadzał mnie po mieście, które sam osobiście znał dobrze. Podróżował bowiem sam wiele i wiadomości jego w tej mierze były tak wielkie i bogate jak jego dobroć. Stosunek nasz robił postępy tak, że gdyśmy opuszczali Singapore, byliśmy już na bardzo serdecznej stopie.

Teraz nie tylko ranki spędzaliśmy z sobą, ale od czasu do czasu pułkownik zapraszał mnie wieczorem do swojej kajuty i udzielał mi w rozmowie różnych rad z taką pieczołowitością jak ojciec.

Jakże niewymownie cierpiałem, gdy w przystępie melancholii powracał znów do swego osamotnienia i smutku. Wówczas nie mówił ze mną, a na powitanie podawał mi tylko końce swych palców, poczem dumny i surowy oddalał się, nie rzuciwszy na mnie ani jednego spojrzenia. Domyślałem się, iż jakaś straszna boleść nurtowała serce tego człowieka. Jakże chciałem poznać tę jego bolesną tajemnicę. W chwili jednak, gdy usiłowałem skierować rozmowę na ten przedmiot, pułkownik pod jakimkolwiek pretekstem, żegnał się ze mną i odchodził.

Nareszcie przybyliśmy do Kochin-chiny. Wszystkich z tego powodu ogarnęła niezmierna radość. Nawet pułkownik się rozruszał. Bo też od chwili wypłynięcia z Port-Saïd pogrążał się wciąż w apatię, gdy się widziało wciąż tylko angielskie barwy i angielskich żołnierzy.

Zatrzymawszy się w Kochin-chinie tylko dla nabrania słodkiej wody i węgla, puściliśmy się w dalszą podróż. Wkrótce jednak w jednym

z mniejszych portów, zmieniliśmy okręt z „Sanghaliena“ i przenieśliśmy się na „Illussusa“. Był to nieduży okręt, krążący między Saïgon, Tourane i Haï-Phong. Między pasażerami znajdowało się nawet nieco Anglików. Zresztą byli to sami francuscy żołnierze i oficerowie, udający się na wojnę.

Rzecz ciekawa, że w miarę zbliżania się do celu naszej podróży, pułkownik stawał się coraz bardziej ponury. Rozmowy nasze były coraz rzadsze. Mimo to spostrzegłem w oczach jego wyraz serdecznego dla mnie przywiązania.

Gdyśmy już ujrzeli ziemię i skały Sac-Ba a nawet w oddali pola ryżowe, spytał mnie nagle bardzo poważnie:

— Czy pan jesteś stanowczo zdecydowany wysiąść w Tonkinie?

— Bez wątpienia mój pułkowniku!...

— Zwracam uwagę, że jest to ziemia zabójcza. W niektórych porach roku Europejczycy padają tu jak muchy...

— A przecie ty pułkowniku także tam będziesz...

— Ja, to zupełnie co innego. Powołuje mnie najpierw obowiązek, a potem taki stary, bezużyteczny grat, może sobie umrzeć spokojnie.

Gdy chciałem mu przerwać, dodał:

— Wiem, co chcesz mi powiedzieć, że mię kochasz. Nawet ci wierzę. Pociągnęło nas ku sobie rzeczywiście jakieś niewytłumaczone uczucie, dzięki któremu przeżyliśmy ze sobą wiele chwil przyjemnych. Dla tego bardzo życzliwie radzę ci i zaklinam, jeśli już tak koniecznie chcesz wysiąść na ląd, to odjeżdżaj choć stąd jak najprędzej. Gdybyś, broń Boże, zachorował, pomyśl, jak bardzo zmartwiłbyś swoją matkę!...

Nie na to odrzec nie potrafiłem, czując całą słusność po stronie pułkownika. Jakaś fatalność pchała mię wciąż naprzód. Czulem w jakiejś powodu tego musicie być rozpaczy, a jednak... nie mogłem się oprzeć.

Okręt tymczasem opuścił morze i kołysał się wolno po rozlanych szeroko wodach Delt.

W godzinę małą stanęliśmy w Haï-Phong.

— Czy wysiadasz pan tutaj?... — zagadnął mnie pułkownik.

— Nie!... dojadę do Hanoi!...

— Dobrze — rzekł oschle — ale zabraniam ci posuwać się dalej.

Koło Hanoi okręt wpłynął na fale Cua-Doc, jednej z odnóg Czerwonej Rzeki. Wszyscy znajdowali się na pokładzie okrętu. Aż do gór, okalających horyzont, okolica, na którą patrzyliśmy,

przedstawiała olbrzymią równinę, zasianą ryżem i poprzerzynaną wązkimi kanałami, potrzebnymi do nawodnienia pól ryżowych.

— Oto przyszłe pole walki!... — pomyślałem sobie.

Na drugi dzień dopłynęliśmy do Hanoi. Przed udaniem się na ląd, pułkownik przystąpił do mnie, aby mię pożegnać.

Jesteś pan — rzekł wówczas do mnie — jedynym człowiekiem, do którego zagadał stary mizantrop. Stosunek nasz jednak mógłby istnieć li tylko w czasie wolnym od służby wojskowej. Z chwilą, gdy obejmuję komendę, należę do moich żołnierzy. Jednak nie zapomnę o tobie — zobaczymy się w Paryżu!...

Podziękowałem mu gorąco za te słowa i rozstaliśmy się w porcie.

Zatrzymałem się w jednym z hoteli, który nie wyglądał wprawdzie bardzo zachęcająco, mimo to dostarczył mi bardzo spokojnego noclegu. Żaden szelest nie spłoszył mego snu.

Nazajutrz zbudziłem się z planem, który postanowiłem bądź co bądź wykonać. Zaraz o świcie kazałem się zaprowadzić do kasarni rekrutującej się armii. Nadszedłem właśnie chwili, gdy pułkownik de Brettecourt odbywał przegląd swo-

ich żołnierzy. Czynił to powoli, zatrzymując się długo przed każdym i oglądając uważnie każdą część jego umundurowania.

Zbliżyłem się i ja. Spostrzegł mię natychmiast i zmarszczył brwi. Zdobyłem się na spokój i czekałem. Gdy przegląd się skończył pułkownik chciał się udać do kasarni, aby przekonać się, czy żołnierze jego otrzymali wygodny nocleg i dobre pożywienie.

Czatowałem na jego wyjście. Odkłonił mi się, nie zatrzymując się nawet do podania mi końca palców. Szedłem za nim. Ledwie stanął przed swem mieszkaniem, zbliżyłem się.

Przyjął mię wcale szorstko.

— Wszakże uprzedziłem pana, że na lądzie jest niemożliwem widywanie się moje z panem. Cały mój czas należy wyłącznie tylko do moich żołnierzy!...

— Właśnie z tego tytułu stawiam się przed tobą pułkowniku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Pułkowniku, wiesz dobrze, że nie odbyłem dotąd mej służby wojskowej... Przybywam zaciągnąć się pod twoje rozkazy!...

— *Sapristi!* — wykrzyknął zirytowany a zrozpaczony zarazem — tego się właśnie obawiałem! —

i zaczął chodzić wielkimi krokami, owładnięty całym doznawaniem wzburzeniem.

— Nie powinien byłem rozmawiać z panem na okręcie... ale nie byłem panem siebie... teraz prosisz mię o pozwolenie na czyn szalony!... Młodzieńcze, zaklinam cię, odstęp od tego zamiaru! Matka twa umrze z rozpaczy, a ja będę ją miał na swem sumieniu!

— Pułkowniku! moje postanowienie jest nieodwołalne; nie mogę oprzeć się pociągającemu mnie przeznaczeniu: muszę się bić!

— Nie wstępuje się na ochotnika zdala od oczynny...

— To też ja nie chcę być ochotnikiem ale zupełnie poważnie obieram sobie zawód żołnierski, jako najpiękniejszy ze wszystkich.

— Do tego nie posiadasz, prawdopodobnie, odpowiednich dokumentów?

— Wybrałem też sobie pułk cudzoziemski, w którym nie pytają o pochodzenie. Zresztą nie mam obecnie czasu na sprowadzanie papierów z Francyi, tylko pragnę bić się koniecznie!

Pułkownik przypatrywał mi się długo; zdało mi się, że patrząc na mnie, widzi w wyobraźni swej kogoś innego, tak wzrok jego był dziwny i zamglony...

Wreszcie odezwał się z rezygnacją :

— Widzę, że jesteś uparty, że trzeba będzie w końcu przystać na twoje życzenie; jednak daję ci jeszcze dwa dni do namysłu!

Po dwóch dniach stanąłem przed pułkownikiem, bardziej jeszcze rozpłomieniony chęcią oddania się pod jego komendę. Znalazłem go w intendanturze — skąd wyszedłem już — żołnierzem.

Błagam cię, matko, o przebaczenie. Wiem, że oczekiwałaś mnie, by mię znowu psuć, pieścić, uwielbiać bałwochwalczo, według wyrażenia babci; ale wierz mi, że mimo wszystko, nigdy nie czułem się bardziej szczęśliwym, jak od chwili, gdy noszę na sobie mundur żołnierza francuskiego.

Pułkownik zajął się przyłączeniem mnie do armii z właściwą mu troskliwością; niekiedy obchodzi się ze mną tak surowo, jak z innymi żołnierzami. Oddał mię pod rozkazy młodemu hrabiemu Fryderykowi de Villepreux, najprzyjemniejszemu pod słońcem porucznikowi. Według zapewnień kolegów ma on przed sobą wielką przyszłość wojskową. Porzucił oddział strzelców, w którym służył poprzednio, aby wstąpić do legionów cudzoziemskich, spieszących do Tonkinu na pole walki!

Jedno mię tylko niepokoi: spostrzegłem, że

uczują do pułkownika coś w rodzaju niechęci; objaw ten jest dość słaby, nie uszedł jednak mej uwagi. Pułkownik zdaje się tego wcale nie spostrzegać.

Obecnie jedyną moją ambicją jest dosłużenie się jak najprędzej rangi kaprała, potem sierżanta i t. d.

Żegnam was, drogie moje; raz jeszcze błagam o przebaczenie... Pocieszajcie się wzajemnie i nie obawiajcie niczego: powrócę zdrow i niezmienny, a zobaczycie, jak będziecie ze mnie dumne po najbliższej potyczce.

Jan Renaud.

II.

W TONKINIE.

Jan Renaud został przeznaczony do baraków w twierdzy Hanoi, która pomieszczała w tym czasie największą ilość wojsk europejskich. Ta olbrzymia twierdza, zbudowana w kwadrat, znajdowała się we wschodniej części miasta. Znajdujące się wewnątrz zabudowania, otrzymały najdziwniejsze przeznaczenia: Pagoda Royale

i Pagoda des Dames zostały obrócone na składy amunicji. Starożytną wieżę, u podnóża której wykonywano egzekucje, zamieniono na stację telegraficzną... Mieszkanie dawnych mandarynów wyznaczono na kwaterę dla starszych oficerów, zaś dla żołnierzy zbudowano naprędce szałas bambusowe kryte słomą. Jan sypiał w jednym z takich szałasów z towarzyszami swego oddziału, mimo, iż pułkownik de Brettecourt pozwolił mu pierwszą noc spędzić w hotelu.

I ten młodzieniec, który nigdy nie doznał najmniejszego braku, ze wszystkich kolegów najbardziej lekko znosił niewygody żołnierskiego życia, które mogły przygnębiać ludzi dobrze nawet zahartowanych. Dach słomiany dawał wprawdzie dostęp świeżemu powietrzu, ale przepuszczał zarazem krople deszczu. I gdy żołnierze, przemoknięci do nitki, zaczęli szemrać, Jan odpowiadał im zawsze z tym samym spokojem:

— Nawet przyroda jednomyślnie zaleca nam hydroterapię!

Chcąc być uważanym na równi z innymi żołnierzami, bez żadnych osobistych względów, nie zwierzał nikomu swej historii, ale pułkownik — wbrew swej zasadzie polecał go gorąco wszystkim oficerom, chwalać jego piękny postęp. Wkrótce

zyskał szacunek całego pułku. Niemożliwem było nie podziwiać tego młodego człowieka, który, mogąc zdobyć świetne stanowisko we Francji, wolał narażać życie swe w zabijającym klimacie. Nie miał też ani jednego wroga w całym pułku. W początkach znalazło się wprawdzie kilku niechętnych, ale tych na samym wstępie opłacił so-wicie. Nie tylko bowiem ugaszczal ich jak magnat, ale jeszcze w godzinach wolnych od służby przechadzał się z nimi nad brzegami jezior i trzeba było słyszeć, jak wykwintnie przyjacielskim tonem przemawiał do nich:

— To czas przechadzki, chodźmy wypalić cygaro.

Wesołość nie opuszczała go nigdy; tak się czuł szczęśliwym, mogąc nosić mundur żołnierza francuskiego, ograniczający się zresztą podczas okropnych upałów na najskromniejszym ubraniu płóciennym, zarzuconem wprost na ciało. Zaimprovizowane przez Jana przechadzki „w około jeziora“, stały się wkrótce przysłowiowymi w armii cudzoziemskiej i przyłączał się do nich kto tylko chciał.

Rujnował się bez rachuby na swoich kolegów, powodowany nie głupią dumą lecz wrodzoną dobrocią serca. Wystawiał sobie zawsze, jak oni

muszą cierpieć bez pieniędzy, w kraju, gdzie dostawcy na każdym kroku starają się wyzyskać biednego żołnierza; osładzał im cierpienia częstując dobrami cygarami lub zapraszając do popularnych restauracyj pani Beire lub na ulicy Incrusteurs, tak dobrze znanych mieszkańcom Tonkinu. Obowiązki służby wypełniał ściśle pod osobistym nadzorem porucznika de Villepreux. Umiał już dobrze władać bronią, wyuczywszy się teorii z nadzwyczajną szybkością.

— Mógłby już śmiało awansować na kaprała — zauważył młody porucznik w rozmowie z pułkownikiem.

— Przy pierwszej sposobności — odrzekł Brettecourt.

Oficyalnie zresztą pułkownik zdawał się nie interesować Janem Renaud. Podczas przeglądów był zarówno surowym dla niego jak i dla innych. W głębi duszy jednak musiał przyznać, że znajomość z Janem przynosiła mu poniekąd ulgę w ponurej boleści, trawiącej go przeszło lat 20.

20 lat upłynęło od dnia fatalnego, w którym tak nieszczęśliwie pozbawił życia Jana de Villepreux. Przez ten czas postarzał się bardzo. Włosy i wąsy pokryte siwizną jakby śniegiem,

dziwnie odbijały swą białością od ogorzałej cery, spalonej podczas dłuższego pobytu w Afryce.

Nie mogąc odnaleźć narzeczonej Jana de Villepreux i jej syna, zdesperowany Brettecourt opuścił Paryż, szukając napróżno śmierci we wszystkich bitwach afrykańskich, w których brał udział. Śmierć uciekała od niego. Uciekała od niego również podczas roku kłęski. Wskutek swej nadnaturalnej odwagi szybko posuwał się naprzód; ranny pod Sedanem i wzięty do niewoli, zmuszony był wyleczyć się, by móc uciec z Niemczech. Podjął na nowo służbę, bił się jak lew nad Loarą. Po skończonej wojnie za całą nagrodę żądał, by mu dozwolono udać się do Afryki. Nie śmiał pozostać we Francyi, szczególnie w Paryżu. Myśl, że przypadkowo może się spotkać ze starą markizą de Villepreux, pozbawiała go przytomności.

Markiza zawiadomiła go jednak o małżeństwie swego młodszego syna z Julją de Persant, lecz było to dla niego bolesną tylko nowiną. Mimo wszystko, co Honoryusz de Villepreux uczynił albo raczej miał zamiar uczynić dla niego, Brettecourt odczuwał ku niemu nieprzepartą antypatyę i przewidywał smutne następstwa tego małżeństwa. Z rodziną de Villepreux porozumie-

wał się tylko przez notaryusza Florimont i barona de Vauchelles. 1 stycznia posłał ceremonjalne życzenia markizie, wdowie de Villepreux.

Pewnego dnia, niestety, otrzymał list następującej treści od Honoryusza:

„Kochany Brettecourt!

Wybacz, że mimowoli sprawię ci przykrość, ale ilekroć nazwisko twe lub list dojdzie do uszu lub rąk naszych, matka popada w silny stan rozdrażnienia. Nie śmie ci ona o tem donieść, dlatego tembardziej mój obowiązek mi to nakazuje. Zapomnij o mojej matce, tak jak ona się stara ciębie zapomnieć, będzie to lepiej dla nas wszystkich. Co do mnie, będę się czuł zawsze dumnym, mimo tego co zaszło, mogąc i nadal nazywać się twoim przyjacielem.

Honoryusz de Villepreux.“

Od tego czasu Henryk de Brettecourt stał się bardziej ponurym; żył tylko wspomnieniem swego przyjaciela i miłością dla swych żołnierzy. Dla uniknięcia sposobności powrotu do Francji porzucił pieszych strzelców a wstąpił do legionów cudzoziemskich, nad którymi wkrótce objął komendę. Chciano zamianować go generałem, prosił jednak ministra o zatrzymanie go na obecnym stanowisku.

Podczas urlopów porzucił Europę i podróżował daleko, przeważnie po Ameryce. Powrócił do Francji dopiero przed wyprawą do Tonkinu i jedynie po rozkazy ministra. W dniu spotkania na pokładzie „Sanghalien“ syna Maryi Renaud, doznał jakiegoś przykrego uczucia. Zdawało mu się, iż ujrzał nagle przed sobą Jana de Villepreux; Jan Renaud był bowiem żywym portretem tego, którego matka kochała pod nazwiskiem Jana Berthier! A pierwsza myśl, jaka przemknęła przez głowę pułkownika, była: „Boże mój! Czyżby to był tak długo poszukiwany przezemnie młody człowiek?“ Ale wnet otrząsnął się z tego przypuszczenia; czyż ten wykwintny młodzieniec, podróżujący gdyby wielki pan, mógł być synem biednej robotnicy, kochanej niegdyś przez markiza de Villepreux? Zaczął wypytywać o stosunki rodzinne Jana, by się upewnić, że to podobieństwo nie było niczem innem, jak osobliwym przypadkiem. Jednakowoż pierwsze wrażenie było nadto silne; nie mógł już wyrwać z serca tej nagłej przyjaźni, jakiej doznał dla młodego człowieka. Im bardziej go poznawał, bardziej wtajemniczał się w jego sposób myślenia, jego charakter, tem więcej odnajdywał pokrewnych cech z markizem de Villepreux. Był to ten sam zapał, ta sama szla-

Bibl. najnow. pow. i nowel. — Tom VIII.

chetność, ten sam umysł jasny, świetlany, wesół, francuski! Odnalazł w nim swego drogiego przyjaciela z lat młodości, swego towarzysza broni... I kiedy młody człowiek zjawił się przed nim z prośbą o zaliczenie go w poczet żołnierzy, znalazł wprawdzie dość siły, by go powstrzymywać, odradzać, zostawić mu wreszcie dwa dni do namysłu, ale w głębi serca dumny był z niego! I chciał uchwycić go w ramiona, by zawołać: Masz słusność, moje dziecko!

Czyż nie z tą samą prostotą Jan de Villepreux oświadczył niegdyś gotowość wymaszerowania na wojnę krymską?

„Muszę się bić!“ Jakież to piękne słowa — i tak godne Francuza!

Podobne przekonanie miał również Fryderyk de Villepreux. Syn Honoryusza de Villepreux był mniej więcej w wieku Jana Renaud. Z twarzy przypominał matkę, słodką i łagodną Julię de Persant, której był jedyną radością na ziemi wraz z siostrą swoją Henryettą. Gdyż szczęście zarówno jak i majątek oddawna opuściły rodzinę de Villepreux.

Fryderyk znał bardzo niedokładnie z niejasnych skarg swej matki i babki, starej markizy de Villepreux, smutną historję ich domu. Rozu-

miął dokładnie tylko to, że ojciec jego był sprawcą ruiny majątkowej, że roztrwonił posag swej żony i matki i że mizerne okrucieństwa, jakie udało im się ocalić, zaledwie pozwalały za cenę najskrajniejszej oszczędności utrzymać tytuł rodziny. Kochając i szanując swego ojca i chcąc go nadal kochać i szanować, mimo nieludzkiego jego charakteru, Fryderyk nie chciał wiedzieć za dużo; wolał bowiem wyobrażać sobie ojca nieszczęśliwym — niżeli winnym. A potem, mimo smutków, jakie otaczały jego młodość, czuł się zadowolonym. Wszak babka, matka i siostra tak go kochały... Gdy widział stopniowo ubywające z domu konie, powozy, niezliczoną ilość służby, nie przywiązywał do tego prawie żadnego znaczenia i gdy w 12 roku życia odebrano mu jego grooma, nie zmarł się tem wcale. W obec wszystkich widomych znaków ruiny, pozostał zawsze uśmiechnięty.

— Byle tylko nie odebrali mi mojej małej Henryetty — zwykł mawiać do swej matki.

Dla swej dobrej, czulej i młodszej od niego siostry, miał dziwne uczucie przywiązania. To nie tylko była czuła siostra, to był jego przyjaciel, towarzysz, który podzielał z nim wszystkie zabawy, który powierzał mu nawet swój skromny wóreczek z pieniędzmi, żeby jej brat ukochany mógł

być eleganckim i pięknym. Ona to ofiarowała mu pierwsze porte-cigare i ona ze swych mozolnych oszczędności kupiła mu pierwszą parę rewolwerów w dniu otrzymania epoletów oficerskich.

Nigdy im nie wspomniano o tragicznej śmierci ich wuja Jana. A gdy pytali, kogo przedstawiał portret nad klęcznikiem, otoczony czarną krepu, matka odpowiadała im prosto:

— Jest to portret waszego wuja, starszego brata waszego ojca, który zginął bardzo nieszczęśliwie...

— A dlaczego babcia nie nam o nim nigdy nie mówi?

— Nie trzeba wspominać o tem przy niej, ani przy ojcu...—i dorzuciła jakby zamierającym głosem—ani przy mnie, moje dzieci, nigdy...

Biedna Julja! ona sama za wiele o tem myślała!

Mimowoli porównywała obecne szkaradne życie, jakie jej stworzył Honoryusz, z egzystencją tak niezaprzeczenie szczęśliwą, jaką by mogła była otrzymać wyszedłszy za Janę de Villepreux. Również nie wymawiano nigdy wobec dzieci nazwiska hrabiego de Brettecourt. Było to z góry ułożone między obiema kobietami i Honoryuszem. Dogadzało to również samemu Honoryuszowi. Co zaś do kobiet, to tak stara markiza, jak

i jej synowa, nie chciały zaszczepiać jadu antypatii rodzinnej w te dwa młode serca.

Jednakże pewna przypadkowa okoliczność zaniepokoiła ich trochę, burząc w części wielki gmach ostrożności oddawna stawiany. Gdy wyprawa do Tonkinu była zadecydowana, Fryderyk był mianowany porucznikiem w oddziale strzelców; Saint-Cyr ukończył z odznaczeniem; z powodu świetnych egzaminów i życzliwości przełożonych, mógł spodziewać się obecnie szybkiego awansu. Wolał nań jednak zarobić końcem szpady i objawił swym rodzicom pragnienie udania się do Tonkinu. Ojciec przyjął tę wiadomość z obojętnym spokojem, ale matka, babka i siostra załżały się łzami.

Babka pierwsza opanowała wzruszenie. Trzymając Fryderyka w swych objęciach, odezwała się do niego z egzaltacją:

— Taki sam, jak mój Jan! — potem zwróciła się do wnuczki i synowej:

— Odwagi moje dzieci! on chce spełnić swój obowiązek!..

— Ależ my tylko jego mamy! — szlochała Julja.

— Powróci do nas, przyrzekam to wam; powróci z odznaczeniem!

Fryderyk nie zwlekał dłużej; oficjalnie poprosił ministra wojny o przydzielenie go do jednego z pułków, wysyłanych do Tonkinu. Otrzymał wkrótce odpowiedź przychylną, z rozkazem przyłączenia się bezpośrednio do legionu cudzoziemskiego, który miał odpłynąć jako transport rządowy. Z tytułu swego odznaczenia w Saint-Cyr i wybornego dyplomu został podniesiony do godności porucznika. Pewnego dnia zjawił się dumny w pokoju babki, w którym przebywały zwykle wszystkie trzy kobiety, trzymając w ręku rozkaz wyjazdu. Ale zaledwie stara markiza rzuciła okiem na papier, zbladła śmiertelnie.

— Jesteś przeznaczony, moje dziecko, do armii cudzoziemskiej?

— Tak, moja babko, do pułku, który mam nadzieję, odznaczy się!

— A jak się nazywa twój pułkownik?

— Jest to najwybitniejsza osobistość we Francji; człowiek, który odrzucił rangę generała, aby poświęcić życie żołnierzom! Widzicie, że szczęście mnie nie opuszcza...

— Ale na koniec, któż to taki? — badała markiza cała drżąca.

— Hrabia de Brettecourt!...

Na to imię babkę i synową ogarnęło silne

zdenewrowanie. Wdowa pierwsza uspokoiła się na pozór.

— Hazard nazywasz szczęściem, gdy ja w tem widzę wyraźnie palec boży. Ponieważ masz się spotkać oko w oko z hrabią de Brettecourt, trzeba abyś wiedział, że między nim a nami istnieje, nie powiem nienawiść, to byłoby niewłaściwe słowo, ale przepaść nie do przebycia. Co się tyczy powodów tego rozłączenia, nie chcę, abyś je poznawał... Matka twoja i ja mamy w tem nasz cel ukryty!... Musisz mi więc przyrzec, że nigdy nie zażadasz żadnego wyjaśnienia w tym kierunku ani od ojca twego, ani od nikogo z dawnych przyjaciół naszej rodziny.

— Przyrzekam ci to, moja babko — rzekł Fryderyk z przejęciem.

— O powodach tych dowiesz się z czasem... po powrocie z Tonkinu... Chcę, abyś był podwładny pułkownikowi, przed dowiedzeniem się, wskutek czego zerwaliśmy z nim wszelkie stosunki od lat 20 przeszło; chociaż był on jednym z naszych najbliższych przyjaciół. Wszak to jest także i twem życzeniem Juljo, nieprawdaż?...

— Oh, tak, matko! — odpowiedziała młoda markiza de Villepreux z odcieniem głębokiego smutku.

— Nie mamy prawa zabraniać mojemu synowi do

zasłużenia sobie na przyjaźń hr. de Brettecourt...

— Jego przyjaźń! — wykrzyknął Fryderyk — jego przyjaźń, skoro dajecie mi do zrozumienia, że srodze względem was zawinił?!

— Henryk de Brettecourt niczem względem nas nie zawinił. Jestem przekonana, że będzie szczęśliwym, mając cię pod swą opieką, że będzie odnosić się do ciebie po ojcowsku i że poza obowiązkami służby, zawiąże się między wami nawet stosunek przyjacielski. Okrutna fatalność rozdzieliła nas, a ty przyrzekłeś mi, że nie będziesz badał naszej tajemnicy. Pamiętaj o tem zawsze!

Fryderyk opuścił Francję, mocno zaintrygowany temi pół zwierzeniami, pragnąc niecierpliwie poznać swego pułkownika.

Dotrzymał słowa; wszak mógł bardzo łatwo dowiedzieć się prawdy od któregokolwiek z przyjaciół ojca; ale umiał dotrzymać słowa; miał coś w sobie z wierności średniowiecznych rycerzy.

Skoro oznajmił swemu ojcu, że będzie służył pod pułkownikiem de Brettecourt, markiz de Villepreux skrzywił się, ale nie dał synowi żadnego wyjaśnienia. Wiedział o tem, że zawód wojskowy prędzej czy później zbliży do siebie tych obu ludzi; nie można było temu zapobiedz.

Fryderyk został niemile zawiedziony, nie

znalazłszy swego pułkownika w Algierze. Brettecourt w tym czasie bawił w Paryżu, wezwany tam przez ministra wojny.

Pozostawszy w Hanoi, oczekiwał gorączkowo powrotu pułkownika, a gdy go wreszcie ujrzał w całej pełni jeszcze swego męskiego wieku, choć z głową przedwcześnie przypruszoną siwym włosem, uczuł się porwanym ku niemu nieprzewyższoną sympatyę. Ale mając świeżo w pamięci zwierzenia babki i antypatyę ojca względem pułkownika, znalazł się w położeniu bardzo krytycznem i nie wiedząc jak się zachować, trzymał się dziwnie zdaleka od swego pułkownika.

Brettecourt tłumaczył sobie postępowanie młodego człowieka, jako rodzaj antypatii rodzinnej i zdawał się wcale o to nie troszczyć.

Czyż mógł liczyć na przyjaźń Fryderyka, którego rodzina tak srogi cios poniosła z jego winy?

Zresztą obchodził się z nim jak i z innymi oficerami: z największą surowością i najwyszukaną dobrocią.

* * *

Lato miało się ku schyłkowi, upały nie bwały już tak silne, a żołnierze zaczynali się nudzić ciągłą bezczynnością, tembardziej, że otrzy-

mywali bezustanne relacje o świetnych zwycięstwach admirała Courbet, o potyczkach na rzece Min i bombardowaniu Fou-Tcheou...

Jan Renaud, który czytał wszystkie sprawozdania w dziennikach angielskich, przysyłanych z Hong-Kong i tłumaczył je swym kolegom, zaczął się również niecierpliwić.

— A my, kiedyż nareszcie nasza kolej nadejdzie?

Nakoniec 8 września 1884 generał Millot opuścił Hanoi, przekazując komendę generałowi Brière de l'Isle.

Szturm się rozpoczął.

Cała Delta była w ruchu; wojska generała de Négriez połączyły się już z regularnymi wojskami chińskimi. Jan Renaud był u szczytu marzeń: siedł się bić!

III.

Fuyen-Quang.

W owej epoce szło przedewszystkiem o to, aby dać porządną nauzkę „Czarnym-Pawilonom“, przybliżającym się do Fuyen-Quang i otaczającym go powoli. Bezczelność tych band wojowni-

czych, zasilanych od czasu do czasu regularnymi żołnierzami chińskimi, wzrosła od chwili nieszczęśliwej naszej klęski pod Bac-Le! Zamierzali oni zdobyć także i twierdzę Fuyen-Quang, której przy generale Millot zmuszeni byli się wyrzec. Broniły jej dwa oddziały legionistów, stojące garnizonem ze swoim komendantem.

Pod koniec września komunikacja została zupełnie odcięta; dwie kanonierki, które przebyły linję, bardzo gęsto osaczoną, raz wraz trapiły ogniem nieprzyjaciela. Było nieodzownem sprowadzić żywność do twierdzy i złuzować nękania okropnie klimatem garnizon.

Z boleścią serca żegnał pułkownik de Brettecourt odpływający 15. października oddział legionistów cudzoziemskich, do których należeli także Jan Renaud i Fryderyk de Villepreux. Gdyby on mógł był im towarzyszyć i widzieć jak po raz pierwszy idą w ogień! Ale musiał pozostać w Hanoi i wyruszyć dopiero w kilka miesięcy później z drugim posiłkiem do Fuyen-Quang. W chwili pożegnania, ten żelazny człowiek, którego żaden żołnierz nie widział nigdy rozczulonym, nie mógł powstrzymać łez. I przypatrując się długo obu młodzieńcom, rzekł do nich:

— Panowie, polecam wam postępowanie roztro-

pne! Czyńcie waszą powinność, ale oszczędzajcie życie. Należy ono zarówno do waszych rodzin jak i do ojczyzny.

Młodzi ludzie uśmiechnęli się; wszak oni marzyli tylko o zuchwałym jakim czynie. W kilka dni później — mała kolumna ekspedycyjna, obciążona żywnością dla twierdzy Fuyen-Quang przybyła przed Ynoe, stanowiącą silną pozycję obronną, między górami i Jasną Rzeką, gdzie Czarne Pawilony miały dostęp gruntownie odcięty z obu stron, ze strony lądu i ze strony rzeki.

Owe Czarne-Pawilony pod dowództwem Lun-Vinh-Phuoc, stały się groźnym przeciwnikiem. Dobrze uzbrojeni, waleczni, wybornie wyćwiczeni, mogli byli stać się prawdziwymi żołnierzami, gdyby nie brakowało im odwagi do staczania bitew w odkrytem polu.

Aż do okolic Ynoe oddział ekspedycyjny odbywał drogę na kanonierkach Mutine, Bourrasque i Eclair i na dwu barkach ciągnionych przez kanonierki. Płynięto wzdłuż Jasnej-Rzeki, obok wspaniałych równin. Potem okolica przybrała inne kształty. Widziano już gęstym pasem ciągnące się pagórki zasiane ryżem i kukurydzą — wioski takie stawały się coraz liczniejsze. Potem pagórki przekształcały się w góry, wioski spotykano co-

raz rzadziej, aż wreszcie ukazały się skały. Przybliżano się do wąwozów, w których miał się ukrywać nieprzyjaciel. Na kanonierkach wszyscy przygotowani byli do bitwy; spodziewali się lada chwila na krawędziach skał dojrzeć sterczące lufy karabinów nieprzyjacielskich. Pułkownik Duchesne, stosując się do rozkazu głównego komendanta, dał znak do wylądowania. Wszyscy żołnierze uśmiechnęli się na widok tak zwanej „drogi do Fuyen-Quang“ która jednak była bardzo uciążliwa, gdyż trzeba było przedzierać się przez wysokie trawy, ciągnące się dość długą linią.

Żołnierze szli wesoło jak swawolący uczniowie. Około 7-ej wieczorem przebyli bardzo głęboki i męczący parów o gruncie gliniastym i śliskim, a o 9tej rozstawiono obóz, raczej ułożono się do snu na wysokich trawach. Ogólne zdziwienie panowało z powodu nie spotkania się dotąd z Czarnymi-Pawilonami.

— Prawdopodobnie nastąpi to jutro — mówiono sobie.

Nazajutrz Jan Renaud i Fryderyk de Villepreux zerwali się najpierwsi, ale tak cicho, jakby znajdowali się w jakimś wykwinnym apartamencie. Jan przystąpił do uporządkowania swojej toalety, wyjął maleńki necesser, zaopatrzony

w również małeńkie flakoniki z esencyami, na których wyryte były jego inicjały. Był to dar babci Renaud. Opodał od niego Fryderyk de Villepreux czynił również to samo, ale jego *necesser* podróżny, jakkolwiek bardzo okazały, nie był tak zbyt kowny. Brak srebra wogóle dawał się odczuwać w rodzinie de Villepreux.

Ukończywszy toaletę, młodzi ludzie pozdrowili się nawzajem z tak wyszukaną galanterią, jakby się spotkali co najmniej na Champs-Elyseés, poczem Fryderyk wykrzyknął wesoło:

— Kapralu, zdaje się, że to nastąpi dzisiaj, nieprawdaż?

— Kapralu — spytał Jan — jeszcze zawczesnie.

Fryderyk ukończył czyszczenie ubrania, pokrytego błotem wskutek wczorajszej marszruty i wciągał białe rękawiczki.

— Czy masz pan zamiar składać komu wizytę? — spytał Jan z uśmiechem.

— A czyż nie wypada godnie zaprezentować się tym panom?

— Brakuje panu tylko kwiatu gardenii — odrzekł Jan i zerwawszy pomiędzy trawami jakiś biały kwiat polny, ofiarował go z gracyą Fryderykowi de Villepreux.

Teraz już i żołnierze się pobudzili, karność wojskowa zapanowała ogólnie, młodzi ludzie zamilkli. Oddział zbliżał się bardzo cicho, bardzo powoli, w sam środek zarośli, tak gęstych, że zaledwie na odległość dziesięciu kroków można było widzieć.

Okolo siódmej usłyszano dwa wystrzały, poczem nastąpiła długa cisza. To szpiegowie Czarnych-Pawilonów spostrzegli ich i dawali znać o ich obecności. Po niedługiej chwili rozpoczęła się strzelanina. Legioniści. najpierw dali ognia do szyldwachów chińskich, ci wnet odpowiedzieli i w tejże samej chwili porucznik Schuster, stojący na przedzie, upadł, ugodzony kulą w sam środek piersi.

Jan i Fryderyk spojrzeli na siebie.

— Otóż jesteśmy na miejscu, mój poruczniku — odezwał się Jan Renaud, — a ja się wściekam, nie mogąc widzieć nieprzyjaciela.

Czarne-Pawilony byli dokładnie ukryci i w dalszym ciągu strzelali spokojnie, słyszano suchy trzask trzciny ścinanych kulami. Odległość wynosić mogła najwięcej sto metrów. Po kilku minutach zamieszania, pułkownik Duchesne sformował pierwsze szeregi. Cała trudność polegała na osiągnięciu niewidzialnego wroga... Legioni-

ści zostali na miejscu. Jan i Fryderyk z szaloną niecierpliwością oczekiwali swego sygnału. 25-ta kompania piechoty marynarskiej rozpoczęła ruch okrążający, idąc wzdłuż małej grobli po lewej stronie pola bitwy. Ale poniosła już znaczne straty. Na dany znak legioniści zaczęli zdobywać pozycję, podczas gdy pierwsze ich szeregi miały za zadanie przeciągać walkę.

Fryderyk szedł na czele legionistów; Jan był tuż obok niego. Było niepodobieństwem postępować w porządku. Każdy żołnierz z trudem torował sobie drogę wśród popłatanych zarośli. Tymczasem kule chińczyków raziły ich bezustannie. Walka trwała już od trzech godzin i ich zapasy amunicji wyczerpywały się. Nagle, kompania legionistów zaczęła wydobywać się z gąszczów. Okopy Czarnych-Pawilonów znajdowały się już nie dalej nad 30 metrów i można było wyraźnie je widzieć.

Nieprzyjaciel został otoczony.

Żołnierze nie czekali nawet komendy Fryderyka, który wzniósł szablę do góry z okrzykiem „naprzód”. Wszyscy zaczęli biec co sił ku nieprzyjacielowi.

Jan Renaud przeganiał wszystkich. Fryderyk daremnie usiłował go doścignąć. Jan przy-

siągnął sobie, że pierwszy dosięgnie szanów nieprzyjacielskich. Żołnierze byli zelektryzowani widokiem młodego porucznika, który z nieporównaną odwagą łączył tyle kokieterii w bitwie, i zapalem tego żołnierza, który walczył z nim o palmę pierwszeństwa.

W chwili gdy Jan Renaud dobiegał już do szanów, Czarne-Pawilony wypuścili ostatnią salwę... Jakim cudem uszedł Jan śmierci... niewiedomo, ale gdy dym się rozpierzchnął, ujrzano go stojącego z uśmiechem na ustach i kłaniającego się swoim towarzyszom.

— Naprzód! — zakomenderował raz jeszcze Fryderyk.

Ale Chińczycy przerażeni tym silnym atakiem opuścili już swe stanowisko, z obawy, by nie odcięto im drogi do odwrotu. Cała kolumna posuwała się wzdłuż rzeki; Czarne Pawilony mimo porażki, próbowali raz jeszcze zatamować przejście, przystawając tylko w miarę przybliżania się, zawsze jednak będąc ukryci w zaroślach.

Wreszcie o 10-tej byli legioniści panami pola walki i wszystkie oddziały zgromadziły się w opuszczonem obozowisku chińskim.

Była to wyborna pozycja obronna, z której bandyci mierzyli w nas bezpiecznie, nie narażając

się na niebezpieczeństwo, gdyż rzędy drzew, badyli i bambusów, czyniły ich niewidzialnymi. Pogrzebano dwudziestu zabitych, a rannych odesłano brzegiem Jasnej rzeki do Fuyen-Quang. Po południu zaś puszczono się w dalszą drogę; pozostawało jeszcze 9 kilometrów; szli gęsto zalesioną okolicą, spodziewając się lada chwila usłyszeć trzask odwodzonych kurków. Ale nieprzyjaciel usunął się zupełnie; droga była wolna aż do samego Fuyen Quang.

Wieczorem przybyliśmy do twierdzy; zagrano marsz legionistów. Z wałów odpowiedziały nam radośnie trąby. Fuyen Quang był wolny.

Cóż za wyborny spoczynek i smaczna kolacja po dniu tak pracowitym! Garnizon wystąpił nader gościnnie. Obchodzono wesoło zwycięstwo.

Nazajutrz i dnia następnego, pułkownik Duchesue wysyłał podjazdy w celu oczyszczenia dróg, gdyż oddziały Czarnych-Pawilonów grasowały jeszcze w okolicy, szukając sposobności do podejsścia nas zdradziecko. W końcu nagrodzono najwaleczniejszych żołnierzy. Jan Renaud w pośród hucznych oklasków czterech korpusów cudzoziemskich otrzymał rangę kaprała i został

wraz z porucznikiem przeznaczony do rozkazów dziennych.

Obie kompanie legionistów, stojące garnizonem w Fuyen-Quang od kilku miesięcy, przygotowane były do odejścia, a dwie, przybyłe im w pomoc, zajęły ich miejsce razem z tyraljerami krajowymi, pod dowództwem komendanta Dominé. Reszta oddziałów miała oddalić się do Hanoi. Jan Renaud i Villepreux zamieszkali w Fuyen-Quang.

Zrazu można było sądzić, że miasto zostało zupełnie uwolnione od napadów nieprzyjacielskich; Czarne-Pawilony nie pokazywali się więcej.

Ale w kilka dni po odejściu kolumny Duchesue, pojawili się na nowo. Dowódca ich Lun-Vinh-Phune nie wyrzekł się chęci zdobycia twierdzy Fuyen-Quang; tylko tym razem zaczął postępować z rozwagą i rozpoczął oblężenie z wyrafinowaniem znawstwem. Czarne-Pawilony zasileni regularnymi wojskami chińskimi z Yun-Nam, powracali stopniowo, okrążając miasto ze wszystkich stron, odcinając wszelką zewnętrzną komunikację. Plan ich był o tyle łatwy do wykonania, że wojska przeciwnika skierowały się w stronę Lang-Son. W tym czasie generał Brière de l'Isle, pod osobistym dowództwem pobił armię

Kuang-Si w siedmiu potyczkach i zabrał Lang-Son dziesięć razy silniejszemu wrogowi; tembardziej Lun-Vinh-Phune był zdecydowany rozpocząć oblężenie Fuyen-Quang.

Zbytecznem byłoby opisywać szczegóły tego oblężenia, które otrzymało świetną kartę w historyi, dzięki heroicznej obronie komendanta Dominé i chwalebnej śmierci sierżanta Bobillot. Jan Renaud i Fryderyk nadaremnie próbowali się odznaczyć, gdyż wszyscy żołnierze bili się z jednakową odwagą i jednakową pogardą dla śmierci.

Chińczycy prowadzili oblężenie z zadziwiającą znajomością sztuki wojennej. Wyschnięte koryto strumienia posłużyło im do pierwszych obserwacyj; tam wzniesli trzy pierwsze wysokie okopy, rozciągając je powoli w różne strony miasta, podczas gdy baterye, umieszczone na tych wysokościach, raziły ogniem dzień i noc. Opowiemy tutaj jedno małe zdarzenie, które odrazu podźwignięło upadającego ducha w wojsku, bo już i zniechęcenie zaczęło niem owładać i Chińczycy strzelali bezustannie. Na szczęście jednak byli mało zręczni; gdyby nie to, w kilku tygodniach mogli byli roznieść ze szczętem wojska komendanta Dominé. Za pozwoleniem szefa, Fryderyk na najwyższym miejscu

twierdzy rozkazał wznieść tarczę celową, umieściwszy na dole trąbę do dyspozycji Jana Renaud. Gdy przypadkiem kula chińska uderzyła w tarczę, Jan Renaud dawał znak i trąba zaczęła wygrywać pobudkę, jakby we Francyi na polu do ćwiczeń przeznaczonym. Można wystawić sobie uciechę żołnierzy; gdy trąbka rozbrzmiewała, on śmiali się do rozpaku, zapominając o swej niedoli.

Jednakże żelazne koło z każdym dniem zacięśniało się bardziej w okół cytadeli. Chińczycy przypuścili już siedem szturmów, odpartych wprawdzie zwycięsko, ale podczas których komendant Dominé utracił trzecią część swych ludzi. Położenie zdawało się być rozpaczliwem.

Na początku lutego komendant zawołał do siebie Jana Renaud i Fryderyka de Villepreux.

— Muszę wam powierzyć ważne zadanie — rzekł do nich. — A wybrałem was dlatego, bo jesteście najinteligentniejsi i najmężniejsi chłopcy z całej załogi. Idzie o wydostanie się z Fuyen-Quang i zawiadomienie głównego komendanta o naszym położeniu.

Młodzi ludzie byli zachwyceni tą misją.

— Ponieważ łatwo możecie być zabici — ciągnął dalej komendant — nie daję wam zleceń

Kuang-Si w siedmiu potyczkach i zabrał Lang-Son dziesięć razy silniejszemu wrogowi; tembardziej Lun-Vinh-Phune był zdecydowany rozpocząć oblężenie Fuyen-Quang.

Zbytecznem byłoby opisywać szczegóły tego oblężenia, które otrzymało świetną kartę w historii, dzięki heroicznej obronie komendanta Dominé i chwalebnej śmierci sierżanta Bobillot. Jan Renaud i Fryderyk nadaremnie próbowali się odznaczyć, gdyż wszyscy żołnierze bili się z jednakową odwagą i jednakową pogardą dla śmierci.

Chińczycy prowadzili oblężenie z zadziwiającą znajomością sztuki wojennej. Wyschnięte koryto strumienia posłużyło im do pierwszych obserwacyj; tam wzniesli trzy pierwsze wysokie okopy, rozciągając je powoli w różne strony miasta, podczas gdy baterie, umieszczone na tych wysokościach, raziły ogniem dzień i noc. Opowiemy tutaj jedno małe zdarzenie, które odrazu podźwignięło upadającego ducha w wojsku, bo już i zniechęcenie zaczęło niem owładać i Chińczycy strzelali bezustannie. Na szczęście jednak byli mało zręczni; gdyby nie to, w kilku tygodniach mogli byli roznieść ze szczętem wojska komendanta Dominé. Za pozwoleniem szefa, Fryderyk na najwyższym miejscu

twierdzy rozkazał wznieść tarczę celową, umieściwszy na dole trąbę do dyspozycji Jana Renaud. Gdy przypadkiem kula chińska uderzyła w tarczę, Jan Renaud dawał znak i trąba zaczęła wygrywać pobudkę, jakby we Francji na polu do ćwiczeń przeznaczonym. Można wystawić sobie uciechę żołnierzy; gdy trąbka rozbrzmiewała, on śmiali się do rozpaku, zapominając o swej niedoli.

Jednakże żelazne koło z każdym dniem zacięśniało się bardziej w okół cytadeli. Chińczycy przypuścili już siedem szturmów, odpartych wprawdzie zwycięsko, ale podczas których komendant Dominé utracił trzecią część swych ludzi. Położenie zdawało się być rozpaczliwem.

Na początku lutego komendant zawołał do siebie Jana Renaud i Fryderyka de Villepreux.

— Muszę wam powierzyć ważne zadanie — rzekł do nich. — A wybrałem was dlatego, bo jesteście najinteligentniejsi i najmężniejsi chłopcy z całej załogi. Idzie o wydostanie się z Fuyen-Quang i zawiadomienie głównego komendanta o naszym położeniu.

Młodzi ludzie byli zachwyceni tą misją.

— Ponieważ łatwo możecie być zabici — ciągnął dalej komendant — nie daję wam zleceń

pisemnych; znaleziono by je przy was, na wypadek waszej śmierci, a mam nadzieję, że przynajmniej choć jeden z was powróci; uważajcie tedy dobrze, co macie powtórzyć generałowi.

Młodzi ludzie uśmiechnęli się, bo mieli nadzieję powrócić obaj.

— Donieście generałowi, że nasze położenie jest bardzo krytyczne, ale niech nie przychodzi nam w pomoc, dopóki nie dopnie wszystkich swoich zamierzonych zwycięstw. Nieprzyjaciół jest groźny, dobrze zabezpieczony; bitwa zatem będzie krwawa. Nie można więc narazić naszego sztandaru na klęskę. Co do mnie, wytrzymam dotąd, dopóki nie usłyszę po za linią nieprzyjacielską odgłosu trąbki francuskiej.

* * *

Nocą dwóch ludzi, ubranych w niebieskie mundury chińskie, wsiadło do wąskiej łódki i opuściło Fuyen-Quang, płynąc z biegiem Jasnej-Rzeki. Byli to Jan i Fryderyk, zadowoleni, pełni uniesienia, jakby wybierali się na coś bardzo przyjemnego. Czarna noc zdawała się sprzyjać ich zamiarowi, lecz nagle księżyc skryty dotąd w chmurach ukazał się w chwili, gdy łódka przesuwała się obok warty chińskiej. Szyldwach ich spostrzegł

i o coś zapytał. W odpowiedzi Jan posłał mu kulę z karabinu. Szyldwach padł martwy.

Wszczął się alarm. Chińczycy zaczęli gromadzić się nad rzeką. Młodzi ludzie skierowali łódź w sitowia, na miejsce, gdzie nie dochodziły promienie księżyca. Po jakimś czasie zawiesili swoje kepi na karabinach i wystawili na światło księżyca. W tejże chwili rozległy się strzały kilkudziesięciu karabinów; kepi ich były przebite.

— Uciekajmy teraz! — powiedział Fryderyk.

Zaczęli szybko wiosłować. Chińczycy jednak spostrzegli ich dość wyraźnie, ale na widok mundurów Czarnych-Pawilonów, zawahali się chwilę, pytając się nawzajem, czy nie padli tu ofiarą fałszywego alarmu. To wystarczyło dla uratowania dwóch wiosłarzy. Dosięgnęli ramienia Jasnej-Rzeki i... byli ocaleni. Chińczycy nie śmieli ich ścigać; doznawali oni jakiejś zabobonnej ezyi względem kanonierów, którzy ośmielali się wracać do Yuoe przez rzekę.

Jan i Fryderyk nie przestawali wiosłować przez całą noc; rankiem zaś, po krótkim śniadaniu, przebrali się w swe własne mundury.

W dwa dni później przybyli do Phu-Doan, którego przejście było pilnie strzeżone przez gęsto ustawione straże i przez kononierów. Z tej

bowiem strony najczęściej bywali narażeni na zdradzieckie napady Chińczyków; było to ponieważ pocieszającem, świadczyło bowiem o niezajętej dotąd przez nieprzyjaciela twierdzy Fuyen-Quang.

Posiliwszy się, młodzi ludzie opowiedzieli cel swego posłannictwa i smutny stan twierdzy, poczem pod oddaną im dla bezpieczeństwa eskortą, puścili się w kierunku Lang-Jou.

Przybyli na miejsce 10. lutego, a doszedłszy do straży, natychmiast spostrzegli pułkownika de Brettecourt, który odbywał codzienny przegląd ludzi w miejscach, jak zwykle najbardziej niebezpiecznych. Ujrawszy ich pułkownik stanął oniemiały, potem otwierając ramiona, wykrzyknął:

— Moje dzieci! moje szlachetne dzieci!..

I namiętnie przycisnął ich do piersi.

— Czy przyniesiecie nam wiadomości od komendanta Dominé?

— Tak, pułkowniku.

— Idę z wami do generała!..

Generał właśnie był na naradzie wojennej, której głównym tematem obrad miała być właśnie twierdza Fuyen-Quang, gdy młodzi ludzie ukazali się wraz z pułkownikiem de Brettecourt.

Fryderyk de Villepreux wobec wszystkich

zgrupowanych oficerów przedstawił położenie komendanta Dominé, przedstawiając osobiste poświęcenie z taką skromnością, że wzruszony do głębi generał przerwał mu:

— Panowie, postępek komendanta Dominé jest bohaterskim, ale widzę, że jego oficerowie dorównują mu w zupełności. Czemprowadźmy wyruszyć im na pomoc; wojsko mamy wypoczęte, możemy walczyć jeden przeciwko pięciu a nawet dziesięciu! Bitwa nigdy nie zatrzyma francuskiego żołnierza. Co do ciebie poruczniku de Villepreux i ciebie kapralu Renaud, zasłużyliście sobie na spoczynek, którego wam udzielam, aż do chwili zawiadomienia przezemnie ministra wojny o waszym heroicznym czynie.

Na te słowa obaj młodzieńcy zasmucili się szczerze, a Fryderyk, porozumiawszy się wzrokiem z Janem, rzekł głośno:

— Jenerale, najmiłszą będzie dla nas nagrodą, jeśli pozwolisz nam udać się wraz z wojskiem na pomoc komendantowi Dominé.

Generał uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł do zgromadzonych oficerów:

— Z takimi żołnierzami można mieć pewność odniesienia zwycięstwa! Pułkowniku de Brettecourt, upoważniam cię do spełnienia życzeń tego

porucznika i tego kaprała. Kaprał, kaprał!... — i uśmiechnął się znowu. — Upoważniam pana również do zamienienia tego paska płóciennego na galon srebrny. Przebywszy obóz nieprzyjacielski można sobie zasłużyć na awans. Do widzenia sierżancie Renaud... Poruczniku de Villepreux, wkrótce zobaczymy się w ogniu i załóżę się, że Chińczycy przypną ci epolety kapitana, tak jak kapralowi Renaud przypięli epolety sierżanta.

IV.

Prawo oficera.

Rankiem 16. lutego wojsko francuskie opuściło Lang-Son, by iść z pomocą twierdzy Fuyen-Quang. Wiódł je główny komendant wojsk i pułkownicy: Giovaninelli i de Brettecourt. Kompania legionów cudzoziemskich szła naprzód. Jan Renaud, dumny ze swych galonów sierżanta, maszerował pierwszy, jakby pokazując drogę.

Opodał niego Fryderyk de Villepreux, bacząc pilnie na swego rywala, nie chcąc dopuścić go więcej do zaszczytu stawienia się pierwszemu oko w oko z nieprzyjacielem.

Dwieście kilometrów, które oddzielały Lang-Son od Fuyen-Quang, przebyto w czternastu dniach bez wypoczynku, mimo popsutych dróg i przedzierania się przez gęste trawy, nasyczone wilgocią. Wszyscy żołnierze byli pełni energii, pogardzając niebezpieczeństwem i znojem, maszerując śpiesznie po błocie, bo wszakże ratować należało zagrożony honor sztandaru narodowego. 26. lutego przybyli do Phu-Doan, gdzie znajdowało się 1000 żołnierzy, przysłanych z Delty, pod komendantem pułkownikiem de Maussion.

Tutaj dowiedziano się, że aż do dnia poprzedniego Chińczycy bezustannie ostrzeliwali Fuyen-Quang, ale w nocy nagle wszystko ucichło. Pytano się wzajemnie, co mogło być powodem tej ciszy? Czy Chińczycy niespodziewanie odstąpili od oblężenia, czy też komendant Dominé został zwyciężony?

Niepokój ogarnął serca wszystkich. Ta niepewność trwała jeszcze czas jakiś. Nocą 27. dano w powietrze pewną ilość wystrzałów, w nadziei, że oblężeni spostrzegą się, ale wiatr dał w przeciwną stronę a odległość była jeszcze dość wielką. Z miejsca nie można było nic dojrzeć. Ale Chińczycy pochwycili widocznie sygnał i podczas

gdy ci dążyli naprzód, oni umacniali bardziej jeszcze swoje swoje stanowiska.

2. marca spostrzeżono przednie okopy nieprzyjacielskie, połączone ze sobą tajemnymi podkopami. Forty opasane były tylko palisadą z bambusów i świeżą ziemią, bez żadnej odznaki, bez żadnego sztandaru. Na pozór wydawały się opuszczone. Czoło pierwszego szeregu stanowili tyraljerzy tonkińscy. Posuwali się oni odważnie, czyniąc radośne gesta i zwracając się od czasu do czasu do idących poza nimi legionów cudzoziemskich, stanowiących drugą kolumnę. Byli przekonani o nieobecności nieprzyjaciela.

Była pierwsza popołudniu, gdy nagle zajaśniała straszna błyskawica i jednocześnie zagrzmiąło tysiące strzałów. To Chińczycy dawali znać, że czuwają. Biedni tyraljerzy nie byli w stanie przetrzymać podobnego smagania żywym ogniem. Cofnęli się.

Z trudem nadciągnęła artyleria po tej rozmięklej ziemi i nastąpiła kanonada.

Rozpoczęła się krwawa walka, być może najśmiertelniejsza ze wszystkich walk tonkińskich.

Nie chcąc być posądzonymi o stronnictwo

w tym wypadku, podajemy sprawozdanie naczelnego świadka:

O czwartej godzinie cała brygada rzuciła się w ten piec ognisty, atakując z szaleństwem te okopy, które zionęły śmiercią z rąk niewidzialnych. Dziwaczne jakieś bomby wojenne rozdzierały powietrze, eksplodujące race przelatywały ze złowrogim szelestem, wydrążając przepaście, rozrzucając kawałkami ziemi i szarpiąc trupy popalone i nabrzmiałe. W chaosie bitwy rozbrzmiewały na alarm dzwony, a miesząc się z odgłosem chińskich trąb sygnałowych, dodawały strasznej grozy. Już każdy żołnierz walczył na swój rachunek, rozwścieklony widokiem padających towarzyszy.

O zmroku artyleria nie śmiała dalej bombardować; nie widziała celu strzelać na oślep, ale ogień karabinowy nie ustawał. Naczelnny komendant siedział bezczynny, czekając rezultatu nadludzkiego męstwa swoich żołnierzy. Podparłszy głowę rękami, zamyślony i stroskany nie mógł słowa przemówić.

Niedaleko od niego stał pułkownik de Brettecourt, który chociaż sam dowodził kilkoma atakami, nie okazywał znużenia. Generał prosił, by go nie opuszczał również i pułkownik Giovanelli. Bret-

tecourt był tylko bardzo blady i wzburzony, przyglądał się uważnie zakrwawionym noszom, na których odnoszono rannych żołnierzy, a gdy poznawał którego z legionistów, szeptał z boleścią w głosie: Oh moje dzieci! moje biedne dzieci!

Gdy strzelanie ustało, można było wyraźnie rozróżnić skargi rannych. Doktorzy odszukiwali ich w ciemności, pośród trzciny, pośród bambusów, prawie u stóp okopów chińskich.

Ogień karabinowy ustał w końcu, ale sytuacja nie polepszyła się bynajmniej. Chińczycy zostali panami swoich szanów a nasi żołnierze palali chęcią rozpoczęcia nowej walki. Brettecourt towarzyszył doktorowi; drżał na myśl znalezienia pomiędzy rannymi swoich dwóch nad wszystkich ukochanych chłopców. I oniemiał, spostrzegłszy u podnóża fortu chińskiego Fryderyka de Villepreux, który spał oparty o Jana Renaud. Ten ostatni palił cygaro, chowając ogień w rękę.

— Pozwól mi tak pozostać, pułkowniku; ułożyliśmy sobie, że każdy z kolei spać będzie godzinę... Ponieważ przespałem już moją, nie byłoby więc sprawiedliwie przerywać mu.

— Szlachetne serca — wyszeptał Brettecourt.

— Bądźcie roztropni jutro...

— Mój pułkowniku, czyż to nie jest najlepszą

roztropnością iść wprost na nieprzyjaciela?

Pułkownik oddalił się, myśląc:

— Bóg czuwa nad nimi!

W nocy usłyszano nagle strzał. Wszyscy zerwali się, jak jeden mąż, oczekując ataku. Późem nastąpiła znowu cisza, trwająca aż do rana. Ale z pierwszym brzaskiem, nawet nie czekając rozkazu, oddziały brygady rzuciły się z wściekłością na forty.

Chińczycy zdumieni ich mężną obroną, cofnęli się w nocy, będąc w obawie, by im nie odcięto odwrotu. Dla osłonięcia zaś ucieczki, obsadzili kilka fortów. Pozostali Chińczycy bronili się heroicznie do ostatniej chwili, okupiwszy drogo swe życie.

Około 9-tej rano pozostał już tylko jeden fort, ale najlepiej zaopatrzony w żołnierza. Z każdego otworu widać było sterczące karabiny. Otoczono go ze wszystkich stron. Pluton tyraljérów algierskich i pluton legionistów stanął na szczycie. Villepreux dowodził legionistami, zawsze w swych białych rękawiczkach, co stanowiło najzabawniejszy kontrast z jego ubraniem, utarzanem w błocie.

Żaden wyłom nie był jeszcze uczyniony.

Obrona Chińczyków osłabła, ale nie ustała ani na chwilę.

Francuzi padali ciągle. Wtem rozległa się komenda:

— Naprzód — otwór jest w parapecie!

To głos Fryderyka; chciał skończyć, by nie tracić więcej żołnierzy, bijących się pod jego dowództwem. Rzucił się, wywijając szablą, ale Jan go uprzedził i w jednej chwili znalazł się na parapecie, gotów skoczyć w obwód. Fryderyk złączył się z nim natychmiast i przystąpiwszy szybko do niego pod ogniem Chińczyków, spokojny i z uśmiechem na ustach zatrzymał Jana Renaud.

— Pardon sierżancie, jakim prawem śmiesz wyprzedzać swego oficera?

Jan Renaud skłonił się nader wytwornie i ustąpił miejsca Fryderykowi.

— Jesteś w prawie... jestem ci posłuszny, mój „kapitanie“.

Dziesięciu Chińczyków znajdowało się za parapetem, z nabitemi karabinami. Rozpoczęła się walka.

Sądzone, że porucznik wraz z sierżantem zginęli; i byłoby to nastąpiło niezawodnie, gdyby nie przytomność umysłu Jana Renaud, który schwyciwszy Fryderyka za ramię — rzucił się na

ziemię wraz z nim. Cała gromada kul przeszła nad nimi.

Chińczycy nie mieli czasu do nabicia broni. Jan i Fryderyk zerwali się i zaczęli kłuć ich naprzemian szablą i bagnetem.

Brettecourt, śledzący z małej odległości atak na fort, został zepchnięty wraz z innymi ludźmi plutonu.

Gdy się następnie zbliżył do miejsca, gdzie się odbyło ostatnie starcie mordercze, spostrzegł Fryderyka. Oparty o mur, właśnie nadstawiał on swoje prawe ramię, lekko ranne kulą chińską, Janowi Renaud, który obwijał ranę swą chustką do nosa. Jan Renaud odstąpił od przyjaciela, porwał żywo za karabin i prezentując zawołał wesoło:

— Wejdz mój pułkowniku, jesteś tutaj u siebie!

Brettecourt podziwiał tych dwóch ludzi, zawsze uśmiechniętych i upojonych zwycięstwem. Sam jednak mimowoli się zasmucił; — widok jaki miał przed sobą, był nadto okropny. 60 trupów leżało za ogrodzeniem, strasznie pokaleczonych. Krew płynęła strumieniem. Wszyscy ci żołnierze chińscy, tak dotąd traktowani pogardliwie, dali się zabić do ostatniego, poświęcając się dla armii.

Już był i najwyższy czas skończyć walkę. Francuzcy żołnierze nie mieli już więcej nabojów.

A ile strat! Pierwsza brygada straciła przeszło 500 ludzi, to znaczy, że liczyła więcej poległych w tej jednej walce pod Hoa-Moc, niż cała dywizja w atakowaniu Lang-Son. Głównie dowodzący generał rozstawił na głównych chińskich fortach tyraljerów algierskich; poczem rozpoczęto marsz w kierunku obleżonego miasta.

W samo południe kolumna przybyła do podnóża cytadeli w połowie zburzonej, ale na szczycie której zatknęta zawsze była chorągiew francuzka.

Wkrótce zobaczono komendanta Dominé przybliżającego się ku swym wybawcom. Urok meztwa jest tak wielki, że kolumna cała stanęła mimowoli na jego widok; uwielbiano tego człowieka, który okrył nową chwałą sztandar francuski. Okrzyk powitania wydobył się z piersi wszystkich.

Obok dowódcy stali Jan i Fryderyk. Fryderyk chciał pierwszy przekroczyć bramę fortecy, do której ocalenia przyczynił się niemało.

Komendant Dominé powitał ich nader życzliwie, następnie zbliżył się ku swemu dowódcy.

Była to chwila nader uroczysta, gdy obaj ci ludzie spotkali się i uściskali bratersko; wszystkie serca biły tem samem uczuciem rozrzewnienia.

Rozległy się nowe okrzyki i pośród okrzyków na cześć wodzów, rozległ się okrzyk:

— Niech żyje Francya!

Widok sztandaru francuskiego zatknętego na murach tej cytadeli, którą nieprzyjaciół poprzysiągł sobie zdobyć, zelektryzował wszystkie serca. Jednakowoż, gdy żołnierze weszli do miasta, gdy trąby ucichły, gdy przejęcie się zwycięstwem minęło, nie pozostawało nic innego, jak tylko pomyśleć o spoczynku. Wielu też, nie wziawszy nic do ust, spało po tych trudach całą dobę.

W dwa dni potem ogłoszono następującą proklamacyę:

„Oficerowie, podoficerowie i żołnierze I. brygady.

Dorzuciliście do historii wojennej pułków ekspedycyjnych kartę sławy. Po waszych zwycięstwach w drodze z Chu do Lang-Son, bez otrzymania zasłużonego spoczynku, jestem zmuszony prosić was o nowe trudy, prowadzić was na nowe niebezpieczeństwa.

Ale nieprzyjaciół, wzmocniony przez wszystkich bandytów z Lun-Vinh-Phuoc, nadto wyraźnie nam dał do zrozumienia, że zagrozi nam drogę do Fuyen-Quang. Wy nie bacząc na przeważającą znacznie liczbę naszych przeciwników, ode-

braliście z wielkim trudem miasteczko Hoa-Moc po 24 godzinnej walce. Rezultat okazał się godnym waszego poświęcenia. Jestem pewny, że z ludźmi takimi jak wy, sztandar Francji powiewać będzie wszędzie, gdzie tylko rząd Republiki rozkaże wam go zanieść.

Główny komendant korpusu ekspedycyjnego
Briere de l'Isle.

W kilka dni później szli znowu drogą Jasnej-Rzeki, dobrze im znaną, przechodząc przez pola bitwy pod Hoa-Moc i Yun, bardzo szczęśliwi, pełni zapału, zasypiając się tylko przed mogiłami bardzo licznymi, niestety — żołnierzy francuskich. Ale cała wesołość, cały zapał prysnął, gdy dowiedziano się pośród marszu o nieobliczonej klęsce pod Lang-Son.

Jan i Fryderyk, którzy byli wciąż pod dowództwem Brettecourta, chcieli koniecznie być posłani najprędzej na północ, na pomoc swym braciom; ale kolumna szła wyznaczoną drogą aż do Hanoi.

Jan znalazł tam kilka listów od matki.

W listach tych biedna Marya Renaud nie wyznała swemu synowi, że ciężko zachorowała po otrzymaniu wiadomości o jego wstąpieniu do woj-ska; napisała mu tylko, że obie z babcią były

mocno wstrząśnięte, ale zdołały poddać się rezygnacyi...

„Przebaczam ci, moje drogie dziecko — pisała między innymi. — Byłam w błędzie sprzeciwiając się twemu powołaniu; ono było silniejsze niż twe uczucie synowskie. Nie skarzę się — gdyż przeznaczeniem matek jest cierpieć. Służ szlachetnie na tej drodze, skoro ją wybrałaś, będę dumna z ciebie! Słuchaj rad tego pułkownika de Brettecourt, który zdaje się tak bardzo tobą zajmować. Po podaniu nam jego portretu, już go kochamy...”

W innym znów liście:

„Drżymy każdego rana, otwierając dzienniki; nie nas tak nie zajmuje, jak wieści z tego strasz-nego Tonkinu. Będę miała siłę, by powstrzymać łzy, jeśli będziesz musiał bić się na naszych granicach; wiem dobrze, że matka musi poświęcić naszej głównej matce, ojczyźnie — swe dzieci; ale pomyśleć, że jesteś tak daleko, w obcym, nieznanym kraju! że możesz popaść w jaką zasadzkę, umrzeć, nim się dowiemy, co się z tobą stało, albo zachorować!... Po bitwie, gdy dzienniki podały te straszne wykazy zabitych i rannych, czasem przez parę dni nie śmiałyśmy ich prze-

czytać... A od ciebie dotąd żadnych wiadomości...!"

Były te same skargi w każdym liście; w czwartym powtórzyły się z większą siłą:

„Żadnej wiadomości o tobie, mój Janie ukochany! Nic od czasu listu, w którym mi odmalowałeś życie żołnierskie. Nie chciałeś mnie uprzedzić o twoim wymarszu; ale znam numer twego pułku i wiem, że został powołany do zastąpienia poprzedniego z Fuyen-Quang. Jesteś zamknięty w mieście z tym komendantem, o którym wszyscy mówią z uwielbieniem a mimo to drzę o ciebie. Ta cytadela w Fuyen-Quang stała się bezustanną naszą troską; w nocy słyszę chińską kanonadę i pytam się sama siebie, gdzie ty jesteś, co robisz. Nie narażaj się bezpożytecznie... Bądź przeznorny!

„A ten generał, który spieszy wam na pomoc... Mówią, że nie będzie mógł wyruszyć z siłami wystarczającymi...

„A jeśli przybędzie zapóźno!"

Był to ostatni list wysłany z Francji przed oblężeniem Fuyen-Quang.

W troskliwości swej na końcu listu dodawała matka: „Twoje małe fundusze już się pewnie wyczerpały, więc wysłałam pod twym nazwiskiem

do banku w Hanoi sumę 60,000 franków. A gdybyś mimo to był jeszcze w potrzebie, masz otwarty kredyt do 100,000 franków. Nie chcę, by ci na czem zbywało, mój drogi!"

Podczas, gdy Jan Renaud płacząc, czytał listy swej matki, Fryderyk de Villepreux był całkowicie zatopiony w swoich znowu listach, a zwłaszcza pisanych przez siostrę! Jeden z tych listów brzmiał następująco:

„Mój ukochany bracie!

Od kiedy gazety doniosły nam o twojem mężnem znalezieniu się, podczas bitwy pod Ynoe, nie mamy więcej wiadomości o tobie. I cały dom nasz jest zasmucony!

Ojciec nie ma odwagi znosić łez naszych, dla tego też ukrywamy je przed nim.

Potem zamykamy się w pokoju babci a ja czytam wszystkie dzienniki, w których tylko jest jaka wzmianka o tym okropnym Tonkinie.

Dowiedzieliśmy się, że byłeś pomiędzy mężnymi obrońcami Fuyen-Quang'u a generał komendant przyszedł wam z pomocą...

Gdy dowiedzieliśmy się o tej dobrej nowinie, rzuciliśmy się na kolana wszystkie trzy i modliliśmy się gorąco o zwycięstwo dla armii francuskiej i o życie dla naszego Fryderyka.

Interesowaliśmy się wszystkimi, których imiona były wymienione wraz z twojem; bezustannie mówiliśmy o komendancie Dominé, kaprału Janie Renaud — tak jakbyśmy ich znały. Ten Jan Renaud dzielił z tobą sławę, o której dzienniki piszą już od dwóch tygodni; piszą po prostu fantazje na wasz rachunek, z czego byłam bardzo dumna. Babcia uśmiechała się mówiąc: „Mówiono tak niegdyś o moim starszym synie!”

Mówią, że jesteś najwybitniejszym między oficerami naszej armii. Co zaś do Jana Renauda, domyślamy się, że jest młody i bogaty, że odbywał podróże naokoło świata po wielkopańsku, że znakomite stanowisko mógł zająć w Paryżu, a jednak wolał wstąpić jako prosty żołnierz i bić się.

Musisz go nam przedstawić po powrocie.

Ponieważ będziesz wiele rzeczy potrzebował po oblężeniu Fuyen-Quangu, babcia i mama złączyły swoje oszczędności, by ci je przesłać. Nie jesteśmy bogaci, niestety! Mówię „my“, ponieważ zbieram w sekrecie swoje oszczędności jako młodej panienki i także ci posyłam. Babcia 1,000 fr., mama 600 fr. i ja 400 fr!... Otrzymujesz odemnie bardzo skromny podarek! A takbym chciała, abys był bogaty!...

Przybędziesz otoczony chwałą; wszystkie panny potracą dla ciebie głowy i ożenisz się wspaniale!...

Ściskam cię za nas wszystkich, a od siebie samej załączam tysiące, tysiące pocałunków.

Twoja kochająca cię

Henrietta.

V.

Obowiązek przyjaciela.

Ponieważ poczta z Hanoi odchodziła właśnie nazajutrz po przybyciu armii, Jan i Fryderyk spędzili noc na pisaniu, by opisać ukochanym istotom, które tylko nimi żyły, wspaniałą kampanię, jaką odbyli.

Spotkali się rano na poczie z pułkownikiem de Brettecourt, który także wysyłał list do Francji.

List jego zresztą był krótki i opiewał:

„Mój drogi Vauchelles.

Pozwól przypomnieć sobie, że jesteśmy starymi przyjaciółmi, ponieważ mam do ciebie prośbę. Co to jest za jedna pani Renaud, właścicielka

składu bielizny przy ulicy de Sentier? Jej syn służy w moim pułku, prawdziwy lew, który swoim zuchwalstwem, swoim charakterem a nawet twarzą, przypomina mi zadziwiająco mego biednego Jana de Villepreux. Bardzo się przywiązałem do niego, chciałbym wiedzieć z jakiej pochodzi rodziny. Jednym z mych oficerów jest Fryderyk de Villepreux, także lew. Patrząc nań, przypomina się o jego ojcu. — Gdybyś go kiedy widział biegnącego do szturm w białych rękawiczkach i z kwiatkiem w butonierce, sądziłbyś tak jak ja, że armia francuska oczekuje tylko sposobności, aby się okryć dawną chwałą.

Uklony Pani baronowej de Vauchelles.

Twój stary druh

Henryk de Brettecourt“.

Z największą niecierpliwością oczekiwał pułkownik odpowiedzi od barona de Vauchelles.

Nadeszła w trzy miesiące potem, gdyż Paryż od Hanoi oddziela czterdzieści dni drogi.

„Pani Renaud — pisał mu baron — jest osobą nader zwracającą uwagę już swym charakterem, w rodzaju pani Boucirant.

Oddawna także jest wdową (otrzymałem to objaśnienie od jej bankiera) założyła magazyn bielizny najpierwszy w świecie, jak mówią życie

upłynęło jej na uwielbieniu syna, tego młodego szaleńca, który znajduje się u ciebie służbie. Omal nie umarła, dowiedziawszy się, że wstąpił do wojska.

Panie de Villepreux niemal zupełnie tak samo. Żyją w szalonej gorączce, pożerając korespondencje z Tonkinu. Ponieważ obaj twoi protegowani okryli się chwałą, nie mówią dzisiaj w Paryżu o niczem innem tylko o nich. Spełnisz miłosierny uczynek, odsyłając obydwu ich rodzinom najbliższym statkiem pocztowym. Co do Ciebie, spodziewam się, że skończysz z tem śmieszmem życiem na wygnaniu. Zasłużyłeś już na długi wypoczynek; przyjedź spędzić go u nas; moja żona, ponieważ dotąd nigdy nie mogłem cię jej przedstawić, utrzymuje wciąż, że istniejesz tylko w mej wyobraźni.

Ten biedny markiz de Villepreux — spadł już nietylko w znaczeniu finansowem. Trzebaby aby syn jego stał się bohaterem zupełnie wyjątkowym, by o ojcu zapomniano.

Ściskam twą dłoń serdecznie.

Vauchelles“.

Przez te trzy miesiące, zanim przyszła odpowiedź od Vauchellesa, Brettecourt przywiązał się bardziej jeszcze do Jana Renaud. Jan po chwalebnem zainsta-

lowaniu się w wojsku, wziął się bardzo poważnie do pracy i nauki, i zadziwiał swego pułkownika dojrzałym umysłem. Nauczył się służby wojennej i miał teraz tylko jedną ambicję, zdanie egzaminów, by zostać oficerem. Prosił o pozwolenie udania się do Lang-Son; wyobrażał sobie, że zasłuży na epolety na polu walki. Ale generał komendant odpowiedział:

— Jan Renaud jest nam potrzebny, więc zostanie na razie z nami! — Jan też został, ale nie brał udziału w żadnych zabawach, które można było urządzać sobie w tym czasie w Hanoi. Ta powaga zdumiewała de Brettecourta. Na tym punkcie podobieństwo młodego żołnierza z Janem pe Villepreux ustawało, to znaczy, że Jan Renaud miał wszystek zapał i całą lekkomyślność nieszczęśliwego przyjaciela pułkownika, ale miał także rozsądek spokojny i refleksję swojej matki. Hazardował swe życie na polu bitwy, ale umiał panować nad pokusami; nie chciał narażać się głupio na niebezpieczeństwa, jakie klimat ten ohydny przedstawia. Mawiał, że nie miał prawa narażać bezustannie życia, które należało do jego matki i babki.

Fryderyk de Villepreux był mniej rozsądny i był przedmiotem ciągłego niepokoju dla pułkowni-

ka de Brettecourt. Charakter młodego oficera był mieszaniną zalet matki i kilku wad jego ojca. Jeśli był słodki, dobry, szlachetny, ze skończoną łagodnością siostry Julii to też miał to samo zamięłowanie zbytku, co jego ojciec i tą samą niepożądaną skłonność do gry.

Wkrótce po powrocie do Hanoi zamianowano go kapitanem, i odbyła się cała serya uczty, by uczcić jego nominację. Otrzymując nowych towarzyszy, chciał upiększyć domek, w którym mieszkał. Wydatki, na które Jan Renaud mógł sobie pozwalać bez rachuby, wyczerpały Fryderyka trochę; czynił wydatki nad możność, do robienia których kusili go kupcy z ulicy des Constructeurs. Posłał przytem matce i siostrze przedmioty nadzwyczaj kosztowne i tak w przeciągu dwu miesięcy dwa tysiące franków, które otrzymał, ulotniły się.

Jan Renaud od razu zrozumiał swoim umysłem roztroptym niebezpieczeństwo, na jakie — w tym kraju — naraża każdego gra hazardowna. Chciał otworzyć oczy lekkomyślnemu swemu kapitanowi, ale ich zażyłość wkrótce znikła. Kapitan nie mógł i nie chciał dłużej utrzymywać bliższych i zażyłych stosunków ze swym sierżan-

tem, porwany zupełnie przez oficerów w wir gier hazardowych.

Kwestya gry jest zawsze główną w koloniach i zrobiła też ona wielkie spustoszenia w Tonkinie, gdzie zwykli żołnierze, porucznicy i kapitanowie, bardzo często tracili olbrzymie sumy. Z początku Fryderyk grał ze swymi kolegami, i zresztą prawie wszyscy grali. Jak na nieszczęście dla niego był szczęśliwym w pierwszych partyach. Po królewsku jednak przetracił ze swoimi towarzyszami pieniądze, które wygrał. Potem nie upłynął jeszcze miesiąc, a stał się stałym towarzyszem negocyantów francuskich, którzy wszystek swój wolny czas poświęcali grze.

Kto go zaprowadził w te miejsca? Bezwątpienia jacyś ajenci od gry, którzy znajdują się w każdym kraju na całym świecie. Fryderyk grał, dużo przegrywał, odgrywał się i tak ciągle. Pułkownik de Brettecourt, który nad nim czuwał zdaleka, myślał wciąż o jakimś zarządzeniu złemu, choćby przez nagane, jednakże nie chciał tego uczynić choćby ze względu na wyjątkowy stosunek swój względem rodziny de Villepreux.

W tym samym dniu, w którym Brettecourt otrzymał list od de Vouchelles, Fryderyk został

zaproszony przez jednego z negocyantów do domu pewnego bogatego Chińczyka.

Chińczycy bowiem nie przestali mimo wojny zajmować poważnego stanowiska w Hanoi. Prawie cały handel był wciąż w ich rękach. Fryderyk poszedł na ten wieczór, nie przypuszczając, że skończy się grą hazardową. Poprostu chciał widzieć jedną z tych scen malowniczych, których się jest tak spragnionym w kraju cudzoziemskim.

Po uczcie, która składała się z potraw wprost potwornych swą oryginalnością, jako to z suszonych pęcherzy ryb, z filetów z wędzonego węgorza morskiego, ze surowych rybich zrazów, gniazd ptasich, skrzeli rekina, z odłamków trzciny cukrowej z ryżem i jarzynami i t. d. goście wszyscy przeszli do pokoju w guście naszych gabinetów do palenia papierosów.

Chińczycy, zachwyceni z obecności francuskiego oficera, postanowili go uraczyć swoim ulubionem opium. Kazano mu tedy położyć się na łóżko z trzciny, przed którym ustawiony był stoliczek, a na nim mnóstwo przedmiotów, służących do przygotowywania i palenia tej trucizny rozkosznej a tak zabijającej.

Palenie opium! Któryż Europejczyk, który podróżował po wschodzie, nie odczuł tej chęci,

przynajmniej choć jeden raz spróbować tej trucizny? Fryderyk postanowił jej spróbować w nadziei, że będzie miał przyjemne marzenia i że to mu powetuje zły obiad, który połknął. Nie wiedział biedak zupełnie, że opium, które palą Chińczycy, nie sprowadza ani snu prędkiego, ani jakichbądź halucynacyj. Chińczycy znajdują w niem tylko podniecie, podobnie jak Europejczycy w filiżance kawy; ci nawet z Chińczyków, którzy się niem nie upajają i którzy nie stali się jeszcze niewolnikami tej namiętności, szukają w nim przedewszystkiem bodźca do pracy, do interesów.

Fryderyk naładował sobie porządnie fajkę tem opium, stosując się do danych mu objaśnień i gotował się do palenia, z góry ciesząc się, jakie to będzie bardzo malownicze opowiadanie siostrze a *propos* tego opium. Potem z fajki, umieszczonej nad małą lampką, wdychał powoli dymy z opium. Negocjant francuski, który go przyprowadził i Chińczyk, który im ofiarował gościnność, zdawali się zapominać o nim; palili obaj w nastroju uroczystym.

Reszta Chińczyków i negocjantów francuskich oddawała się również paleniu; a gdy już wszyscy byli pod panowaniem trucizny, zorganizowano

partyę gry — gry bardzo skomplikowanej, przypominającej ruletę.

Wszyscy gracze, podnieceni opium, byli pełni zapału; robili kombinacye z zadziwiającą szybkością umysłu; ich inteligencya stanowczo była podwojona przez truciznę, która wprost przeciwny wpływ wywarła na Fryderyka. Nieszczęśliwy był nieprzytomny; głowę miał w ogniu, w oczach wszystko mu się troiło. On był również bardzo podniecony, ale jak człowiek pijany. Grał wiele, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, czy wywa, czy przegrywa. A gdy przegrał wszystkie pieniądze, które miał przy sobie, grał na słowo... Tak przegrał dużą sumę, z której sobie nawet wówczas nie zdawał sprawy.

Po skończonej grze przyszedł go zabrać służący i podtrzymując pod ramiona odprowadził do domu. Tu upadł wyczerpany na łóżko i zasnął, nie mając nawet siły się rozebrać.

Nazajutrz obudził się bardzo późno. Roztwierał powoli oczy, a te zamykały się znów mimo jego woli, potem znów je otwierał i znów zamykał. Gdy nareszcie na dobre się przebudził, powiódł wzrokiem nieprzytomnym w około siebie. Nie mógł sobie przypomnieć, jak się dostał do siebie... zdawało mu się, że znajduje się nadal w tej sali

opium, w tej gmatwaninie Francuzów i Chińczyków. Machinalnie szukał stołu gry.

Zamiast tego wszystkiego spostrzegł tylko surową twarz, której wejrzenie przeraziło go. Wyszepiał:

— Mój pułkowniku!

Był to rzeczywiście de Brettecourt. Wyciągnął rękę do Fryderyka a wzrok jego przybrał wyraz dobroduszny.

— Jakże się czujesz, kapitanie?

Fryderyk chciał się podnieść. Odrętwienie niewypowiedziane rzuciło go nazad na łóżko.

— Nie wiem, co to jest, czego doświadczam — wyjąknął.

— Doświadczasz uczucia człowieka, który popełnił szaleństwo — powiedział spokojnie Brettecourt.

— Szaleństwo?

To słowo wróciło Fryderykowi przytomność umysłu; przypomniał sobie teraz najdokładniej co zaszło wczoraj.

— Szaleństwo? — powtórzył; — nie, mój pułkowniku, tylko wielkie głupstwo, oto wszystko!..

— Powiedziałem: szaleństwo, bo to jest zupełne szaleństwo. Dziś rano napróżno pański ordynans próbował cię rozbudzić; nie stawileś się do apelu.

A ponieważ odbywałem przegląd, pańska nieobecność mię zaniepokoiła. Poinformowałem się więc coś robił wczoraj i dowiedziałem się, że...

Fryderyk zerwał się z łóżka; kolory wystąpiły mu na twarz.

— Ale jakim prawem, panie?

— Prawem, jakie ma każdy pułkownik, który czuwa nad swoim oficerem! Prawem...

— Wybacz, mój pułkowniku, ale nie masz prawa wglądać w moje życie prywatne...

— Masz pan charakter bardzo gwałtowny, panie de Villepreux. Pozwól mi dokończyć myśli. Chcę dodać: prawem przyjaźni!

Fryderyk opuścił głowę.

— Kilka miesięcy temu — mówił dalej Brettecourt — w dniu oswobodzenia Fuyen-Quang'u, przeszkodziłeś jednemu ze swych ludzi wejść pierwszemu do fortu chińskiego; byłeś w swoim prawie. Był to piękny postępek wojskowy i przyniósł ci, mimo twej młodości, stopień kapitana. Obowiązkiem moim dzisiaj jest ratować cię... Nie ma tu więcej pułkownika i kapitana; jest tylko stary przyjaciel, który przychodzi do ciebie. Jako pułkownik zamykam pana do aresztu; jako przyjaciel jestem całowicie na twoje usługi.

Wszystko to było wypowiedziane z najwy-

szukańszą, najbardziej światową grzecznością. Nikt nie mógłby odgadnąć głębokiego wrażenia, jakie odczuwał Brettecourt. Fryderyk pozostał cichy, oszołomiony, zdziwiony... Ostatni człowiek, do którego byłby się udał w tej trudnej sytuacji, przychodził do niego!

— A zatem widzę — ciągnął dalej Brettecourt uśmiechając się — że poufałość jest trudna; rozpocznę pierwszy. Od kilku miesięcy grasz pan dużo; nie pan zresztą jedyny; większa część twoich kolegów dała się obalamucić; mogę z powodu tego tylko żałować pana. Spodziewałem się przynajmniej, że żaden z was nie poszedł za daleko. Wczoraj dałeś się zaprowadzić do pewnego Chińczyka; dałeś się... obalamucić i przegrałeś 7000 piastrow. Czy cyfra jest dokładną?

— Tak, panie.

— Nie jesteś w możności zapłacenia jej; nie mówię tego bynajmniej, by cię upokorzyć, ale by sprawdzić i zapobiedz fatalnemu położeniu. Żaden z twych przyjaciół również nie jest w stanie ci ich pożyczyć. Jednakowoż jeśli nie zapłacisz do wieczora...

— Bądź spokojny, mój pułkowniku, nie zhańbię ani mego nazwiska, ani munduru, który noszę.

Fryderyk powiedział to z takim spokojem,

że Brettecourt nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Właśnie to chcę ci oznajmić. Twoje nazwisko i mundur to piękne rzeczy, ale twoja matka!...

Fryderyk wydał krzyk bólesci i łzy zabłysły w jego oczach.

— I tak — mówił dalej Brettecourt — nie wolno panu opuścić kasarni podczas dnia; jesteś w areszcie... nie przyjmiesz pan nikogo; nie chcę, aby się domysłano, że ktokolwiek bądź oddał ci przysługę... Będziesz miał te pieniądze dziś wieczór. Nocą możesz na krótko opuścić swój areszt, aby pójść załatwić dług osobiście. Ale ja dowiem się o twojem wyjściu i ukarzę podwójnie za nieposłuszeństwo. Bądź zdrow moje dziecko... Odpocznij!

Fryderyk czuł się pokonany szlachetnością de Brettecourt'a.

— Ale jeśli odmówię! — wykrzyknął.

I pytał się siebie rzeczywiście, czy obowiązek nie nakazywał mu odmówić? Czy jego ojciec nie będzie mu wymawiał później przyjęcia usługi od de Brettecourt'a?

— Nie masz do tego prawa — powiedział poważnie pułkownik. — A potem, co znaczy taka

skromna przysługa pieniężna, wobec tego zła, jakie wyświadczyłem twej rodzinie?

— Ale jakież to zło wyświadczyłeś pan mej rodzinie? — zapytał niespokojnie Fryderyk. — Jakaż to tajemnica istnieje między nami?

Brettecourt zawahał się... A zatem nie wyjawiono nigdy prawdy przed tym młodym człowiekiem?

— Czyż to możliwe abyś nie wiedział, panie de Villepreux?

— Tak panie, nie wiem nic zupełnie o tem, co was rozdziela!...

— Przecie pańska matka...

— Moja matka nie mówi nigdy o panu!

— A nie mówiła ci przynajmniej o twoim wuju, bracie twego ojca?

— Raz tylko, by mi powiedzieć, że umarł bardzo nieszczęśliwie... że nigdy nie powinniśmy wymawiać jego imienia ani ja, ani moja siostra, szczególnie przed naszą babką. To tylko ożywi jej boleść.

— A... twoja babka?..

— Moja babka mówiła mi tylko raz o panu, w dniu, w którym się dowiedziała, że będę służył pod twymi rozkazami.

— Cóż więc ona panu powiedziała?

— Jej wzruszenie było głębokie... Objaśniła mi, że straszna fatalność złamała przyjaźń, jaką niegdyś żywiła dla pana, ale zdawała się być szczęśliwą dowiedziawszy się, że pan, nie kto inny, będziesz moim szefem. Odgadła, że pan mnie polubisz; mówiła mi, że pan byłeś szlachetny, dobry! I odebrała odemnie przyrzeczenie przed wyjazdem do Tonkinu, że nigdy nie będę się starał poznać powodów naszego rozłączenia...

— Co za szlachetne serce! — szeptał Brettecourt.

— Dość mój panie, jestem w prawie żądania wyjaśnienia tych powodów; delikatność moja zmusza mnie zapytać cię o to przed przyjęciem od pana tak wielkiej usługi.

Teraz Brettecourt zamyślił się głęboko.

— Tak bolesne jest to wspomnienie, że waham się... Zresztą dowiedz się... To ja... ja zabiłem twego wuja, Jana de Villepreux!

— W pojedynku?

— Nie... byłoby to może lepiej! ponieważ pojedynek poprzedza sprzeczka... Zabiłem Jana de Villepreux podczas zwyczajnych ćwiczeń w sali wojskowej!...

— Ależ to był tylko nieszczęśliwy wypadek —

przerwał Fryderyk — za który pan nie możesz być odpowiedzialnym!

— Bezwątpienia... bezwątpienia... Ale ta śmierć była połączona ze strasznymi wyrzutami... których nie jestem w stanie ci wytłumaczyć... A teraz czy sądzisz jeszcze, żeś w prawie mi odmówić?...

— Jak pan musiałeś cierpieć! — wyjąkał Fryderyk, rzucając się na kolana przed Brettecourtem.

VI.

Oszczędności pułkownika.

O zmroku pułkownik de Brettecourt zjawił się w Banku Hanoi i zapytał o dyrektora. Dyrektor przyjął go natychmiast.

— Z kim mam honor mówić? — zapytał.

— Z pułkownikiem de Brettecourt.

— Z pułkownikiem hrabią de Brettecourt?

— Tak jest, panie.

— Który przemieszkował w Algierze przed przybyciem do Tonkinu?

— Tak jest właśnie.

— A zatem odgaduję cel pańskiego przybycia panie hrabio i jestem na twoje rozkazy.

— Czy mój bankier z Algieru uprzedził pana?

— Oddawna, panie hrabio; i wyznaję panu, że byłem trochę zdziwiony, nie otrzymując dotąd pańskiej wizyty!...

— Bah! — odpowiedział Brettecourt z gestem swobodnym — dlatego, że byłem trochę zajęty; zresztą gdy się nie jest wymagającym, nie wydaje się wiele pieniędzy. Pieniądze które są u pana, są moimi oszczędnościami, które uzbierałem sobie w służbie wojskowej za lat tyle. Obecnie jednak przyszedłem pana prosić o połowę skromnej sumki, którą mój bankier z Algieru powinien był panu nadesłać.

— Otrzymałem do pańskiej dyspozycji 60,000 franków.

— To się zgadza. Zachowasz pan drugą połowę do następnego rozporządzenia.

— A pierwszą połowę? Przyszłą ją panu jutro.

— Nie, koniecznie dziś wieczór; mam pewne wypłaty.

— W monecie anamickiej?

— Nie. To byłoby za ciężkie i niewygodne. Przyszliz mi pan po prostu 1.000 franków w piastrach, a resztę w biletach bankowych francuskich; mieniać je będę w miarę moich potrzeb.

Bankier zadzwonił i wydał potrzebne rozporządzenia.

Potem, ponieważ odprowadzał de Brettecourta, nie omieszkął wspomnieć mu o grze wczorajszej, o której mówiono w całym Hanoi.

— Ta sumka — mówił śmiejąc się — przydałaby się bardzo jednemu z pańskich oficerów.

— Tak?... — odrzekł Brettecourt, udając doskonale zdziwienie.

— Pan wiesz chyba dobrze o nieprzyjemności, jaką spotkała pana de Villepreux.

— Jakiej przykrości?... Kapitan de Villepreux zabawił się trochę dłużej tej nocy, a ponieważ nie stawiał się tego rana do apelu... Jest jednak wytłumaczony; jest młody, a życie w Hanoi nie nastrecza wielu rozrywek. Skazałem go na areszt pod rygorem...

— I to właśnie niepokoi jego wierzyciela, który jest moim klientem...

— Jego wierzyciela?... Nie rozumiem pana.

— Ponieważ kapitan de Villepreux jest namiętnym graczem, zaproszono go wczoraj do domu chińskiego; palił, potem grał i przegrał „na słowo“ 7.000 piastrow...

— I ten wierzyciel jego jest zaniepokojony

drogi panie? — pytał Brettecourt zawsze dobrodusznie.

— Ponieważ zdaje się, że pan de Villepreux nie jest bardzo bogaty, a ponieważ zamknąłeś go pułkownika w areszcie, nie będzie mógł widzieć się ze swymi przyjaciółmi i uiścić długu

— Pańskie informacje są niedokładne, panie! Pan de Villepreux stoi bardzo pięknie majątkowo, a znam go tak dobrze, że mogę pana upewnić, że nie grałby na „słowo“, nie mając w domu czem uiścić się ze swych zobowiązań.

I Brettecourt oddalił się, wzruszając ramionami. Był zachwycony tym nagłym wybiegiem, który dał mu możliwość zrehabilitowania reputacji Fryderyka. W godzinę potem przyjmował u siebie urzędnika z Banku Hanoi, który przyszedł mu wyliczyć 30.000 fr., które mu przysłano.

Pułkownik czekał aż noc zapadła, aby wyjść. Umieścił 29.000 franków w kieszeni swego uniformu; odpowiadało to kwocie 7.000 piastrow, którą winien był Fryderyk.

Przybliżał się do kwatery, gdzie kapitan odsiadywał samotnie swój areszt, ale spotkał kilku oficerów, a obawiając się, by go nie zobaczyli wchodzącego do Fryderyka i nie odgadli celu jego wizyty, opuścił cytadelę, mówiąc sobie:

— Przyjdę do niego późną nocą; będzie mniej przychodzących i odchodzących...

Szedł machinalnie przed siebie, oddalając się zwolna od dzielnic więcej zaludnionych. Wkrótce znalazł się nad jeziorem Hanoi, położonem w północno-zachodniej stronie miasta. Potrzebował samotności. A podziwiając błyszczące przy świetle księżyca wody jeziora i wysepki zielone, zlewające się w czarne masy, był opanowany jedną tylko myślą, która napełniała go radością: oddawał przysługę jednemu z Villepreux i to temu, który w umyśle i sercu starej markizy zastąpił niezawodnie miejsce jej starszego syna!

Co zaś do tej sumki, o której mówił bankierowi z takim lekceważeniem, były to jego oszczędności, bardzo powoli zbierane.

Z jakąż radością on je poświęcał pamięci Jana!... I zatopiony w swych marzeniach, nie zwracał uwagi na to, co się dzieje naokoło niego; oddalał się coraz bardziej od Hanoi, nie spotykał już więcej przechodniów... sądził się samotnym... I oto on, mieszkaniec Afryki, człowiek, który niegdyś przeczuwał zasadzki, który nigdy nie dał zejść się niespodzianie, szedł bez podejrzenia, ze wzrokiem utkwionym przed siebie — nie patrząc.

Miał przynajmniej godzinę radości, prawie anielskiej! Nie uważał nawet, że z chwilą, gdy wszedł na drogę, prowadzącą z Hanoi, trzech ludzi szli w ślad za nim. Nie widział ich wcale. Jakże się zdziwił, gdy zobaczył nagle przed sobą pięciu albo sześciu drabów wysokich jak dęby, którzy zastąpili mu drogę. Wtedy dopiero zrozumiał swoją: nieroztropność. Bez wahania jednakże szedł naprzód; jeden z ludzi wydał lekki okrzyk; ci, którzy śledzili pułkownika, przybyli i w jednej sekundzie zobaczył się otoczony.

— Łotry! — zawołał.

I wyciągając szablę, zwałił strasznie uderzeniem pierwszego z napastników; bandyta upadł z rozplataną czaszką. Gdyby pułkownik mógł być oprzeć się plecami o drzewo, może byłby się oswobodził od niespodziewanych napastników, ale był na środku drogi i zanim zdążył wznieść broń, jeden z nich chwycił go nagle z tyłu za ramię i ubezwładnił. Pułkownik widział się zgubionym i byłby nim rzeczywiście, gdyby rozbójnicy byli lepiej uzbrojeni. Przewrócili go tylko, jeden z nich ranił go pugiuałem i tak zmusił do wypuszczenia szabli. Brettecourt widział pochylający się nad nim długi sztylet; szczęściem mógł się poruszyć z miejsca i ode-

pechnąć uderzenie ramieniem, które zostało przebite na wylot... I wówczas jeszcze jakkolwiek ranny, odtrącał wszystkich bandytów, jak odyniec osaczony przez sforę psów.

Ale został zwyciężonym... i byłby zginął niechybnie, gdy nagle drab, który najbardziej nań nastawał, został przez kogoś z tyłu obalony.

Jednym skokiem de Brettecourt stanął na nogi i spostrzegł żołnierza francuskiego, który młynkując szablą zdążył ranić śmiertelnie trzech napastników. Inni przerażeni, nie czekając, uciekli. Nowoprzybyły chciał ich ścigać, ale pułkownik zawołał:

— Żadnej nierozwagi; nie oddalaj się!

— Mój pułkownik!

— Jan Renaud!

— Niech Bóg będzie pochwalony! To pana ocaliłem?...

— Cóż ty robiłeś tutaj?

— Mój pułkowniku, uwielbiam przechadzki nad brzegiem tego pięknego jeziora. To mi przypomina przechadzki moje z matką w Paryżu, gdy praca dzienna została skończoną.

— A ty przychodzisz tutaj sam?

— Gdy się chce marzyć...

— To bardzo nieroztropnie, mój przyjacielu.

— Bezwątpienia, mój pułkowniku, ale sędzę, że co do nieroztropności...

— Już ci nie wymawiam... to prawda, ale przekonałeś się, czem ja to przypłaciłem. Gdyby nie ty, zginąłbym. Pomóż mi dojść do Hanoi; moje ramię ranne i cięży mi...

— Jesteś ranny pułkowniku?—zapytał z niepokojem Jan Renaud.

— To nic... chodźmy prędzej..

Chciał spieszyć być z powrotem; myślał o Fryderyku de Villepreux.

— Pozwól mi przynajmniej — rzekł Jan — spojrzeć w twarz temu łotrowi.

Zapalił zapalną i pochylił się.

— Twój służący! chłopiec do posługi...

To był napastnik, któremu pułkownik rozplątał czaszkę. Nie trudno było odgadnąć prawdy; jego chłopiec widział, jak przyniesiono pieniądze i zebrał zgrają zbójów, aby go okraść i zbiedz potem do Czarnych-Pawilonów.

Jan Renaud opatrzył szybko ranę pułkownika, obwijając chustką na około ramię przebite, które na szczęście było ramieniem lewym. Udali się drogą do Hanoi. Jan podtrzymywał de Brettecourt'a jedną ręką, podczas gdy w drugiej trzymał szablę, na wypadek nowego napadu. Ale na-

pad się już nie powtórzył i wkrótce przybyli do północnego blockhausu, wznoszącego się nad jeziorem. Jan Renaud zaproponował pułkownikowi tu się zatrzymać.

— Nie, nie — odpowiedział ten żywo — muszę przybyć do Hanoï.—Zadowolnili się przestrzeżeniem warty o napaści, której pułkownik padł ofiarą; kilku ludzi zostało wysłanych w ślad za zbrodnia-
rzami.

Brettecourt uczuwał w ramieniu ból bardzo dotkliwy i gorączkowe dreszcze zaczęły nim wstrząsać; czuł potrzebę położenia się, pozostawiania w zupełnym spokoju. Ale myślał o Fryderyku i to dodawało mu odwagi i zmuszało do pokonywania gorączki. Gdy dosięgli cytadeli, pułkownik odezwał się do Jana:

— Ani słowa tutaj o tej smutnej napaści... dopóki nie pozwolę ci mówić...

Chciał uniknąć zbiegowiska ciekawych.

— Zostaw mię — dodał — mogę iść sam...

Próbował w istocie, ale w tej chwili zachwiał się i Jan, który go odstąpił, musiał podtrzymać go znowu.

— Niepodobna! — szeptał pułkownik tonem rozpaczliwym — niepodobna!

— Ale dlaczego mam cię opuścić, mój pułko-

wniku? Uczyni mię tak szczęśliwym i pozwól towarzyszyć do końca... do umieszczenia w pańskim mieszkaniu...

— Nie chcę iść do siebie — rzekł Brettecourt bardzo zakłopotany.

— Pułkowniku, będę ci towarzyszyć, dokąd zechcesz... i zapomnę natychmiast, gdzie byłeś.

— To jest... ja nie mam prawa... Jest na dnie tego sekret, który do mnie nie należy...

Mówił z trudem, język płatał mu się. Jeśliby się opóźniał jeszcze, być może że zemdlałby...

— Prowadź mię do kapitana Villepreux — wyszeptał. — I idźmy przezornie... żeby nikt nas nie widział... nikt zupełnie!

Ostatni potomek rodziny de Villepreux oczekiwał z szaloną niecierpliwością przybycia swego szefa. Cały dzień nie obawiał się niczego. Ufał ogromnie słowu de Brettecourta. Ale skoro noc zapadła, sądził, że jest zapomniany i zaczął się obawiać... Gdy ujrzał Jana Renaud i pułkownika, krew w nim zamarła; wyobrażał sobie, że Brettecourt nie dopiął swego i przyprowadził ze sobą Jana Renaud po to, by odmówić wyświadczenia przysługi, którą tak lekko ofiarował. Pułkownik padł na krzesło a Jan usunął się z pospiechem.

— Jesteś ranny pułkowniku — wykrzyknął Fryderyk wstrząśnięty.

— Nie... nie... mój przyjacielu! Proste cięcie w lewe ramię, które prędko wyleczę; ale to mi sprowadza gorączkę... Jacyś hultaje napadli mnie nad brzegiem jeziora... I bez Jana Renaud, który przechadzał się tam, byłbym zabity... i to, co jest najważniejszym dla ciebie, byłoby ukradli... Byłem tak nieroztropny, że miałem twoje pieniądze...

— Ach! panie de Brettecourt, jakże ja ci się odwdzięczę za to, co dla mnie robisz?

— Dość, mój przyjacielu, nie trać słów napróżno; pomóż mi czemprędzej wydostać pularę... Moje prawe ramię także jest osłabione... wsuń rękę.. prędko... prędko...

Fryderyk zagłębił rękę w kieszeń munduru pułkownika.

— Z której strony mój pułkowniku?

— Tam... gdzie jesteś.. na prawo...

— Przepraszam cię pułkowniku... przepraszam... Fryderyk szukał gorączkowo.

— Przepraszam... ale nie nie znajduję...

Szukał prędko z drugiej strony.

— Jeszcze nie? — spytał niespokojnie Brettecourt.

— Nie, mój pułkowniku. Przyczem dwa guziki od twego płaszcza są odpięte..

— Bandyci!... — wyszeptał Brettecourt głosem słabnącym — nie mogą mnie zamordować, okradli mnie! Ah! mój Boże! — westchnął tak rozpaczliwie, że Jan Renaud usłyszał go.

Przypuszczając, że pułkownik stracił przytomność, wszedł do kwatery i spostrzegł de Brettecourt'a i Fryderyka, którzy patrzyli na siebie jak skamienieli. Stał chwilę u drzwi starając się odgadnąć, co zaszło. Pułkownik zawołał nań.

— Przybliź się Janie Renaud. Jesteśmy zmuszeni przypuścić cię do tajemnicy która należała do pana de Villepreux.

Fryderyk padł na krzesło, ukrywając twarz w dłoniach.

Pułkownik ciągnął dalej:

— Pan de Villepreux, ojciec twego kapitana, powierzył mi 30.000 fr., bym je oddał synowi w razie potrzeby. Jego syn zażądał tej kwoty dzisiaj. Podjąłem ją z banku, gdzie ją deponowałem... I zostałem z niej głupio okradziony przez tych łotrów... Spostrzegłem to dopiero w tej chwili...

— I to cię niepokoiło, mój pułkowniku? — wykrzyknął Jan swobodnie. A spojrzawszy na Fry-

deryka przedłożył zwitek biletów bankowych pułkownikowi i rzekł swobodnie:

— To zmusi mię do oszczędności, a to zdziwi nadzwyczajnie moją matkę i babkę.

Potem z całą dyskrecją wyszedł, nie chcąc nadal zamącać sam na sam Fryderyka z pułkownikiem.

— Co za przyjaciel! — wykrzyknął Fryderyk bliski płaczu.

— Nigdy nie znajdziesz lepszego — odpowiedział pułkownik.

W dwa dni później Brettecourt był zmuszony prosić o zastępstwo swego podpułkownika, gdyż straszna gorączka nim owładła. Przeniesiono go do szpitala. I wkrótce rozeszła się pogłoska, że stan jego pogorszył się; rana, mogąca być nieszkodliwą we Francyi, sprowadzała opłakane następstwa w tym zabójczym klimacie.

Paroksyzmy gorączkowe trapiły Brettecourt'a co wieczór, za każdym razem coraz silniejsze. Nadszedł dzień, w którym doktor naczelny zdecydował śmierć, jeśli dłużej pułkownik pozostanie w Hanoï i zarządził natychmiastowy wyjazd do Francyi. Gdy oznajmiono choremu, że jego wyjazd do Francyi jest postanowiony, odpowiedział spokojnie:

— Przyjmuje... jeśli w tym samym czasie odeślesz pan także kapitana de Villepreux i sierżanta Jana Renaud. Ponieważ jestem skazany na śmierć, nie chcę umierać zdala od nich. — General głównie dowodzący spełnił natychmiast życzenie pułkownika. Jan Renaud i Fryderyk de Villepreux otrzymali rozkaz natychmiastowego wyjazdu, by towarzyszyć pułkownikowi de Brettecourt. Opuścili Hanoï na statku dnia 15. lipca.

Stan chorego nie polepszył się jeszcze, gdy już byli na rzece; ale w miarę przybliżania się do morza, odczuwał błogą świeżość. I gdy go przeniesiono na okręt, kursujący między Haï-Phong i Cochinchiną, odezwał się wesoło do swych przyjaciół:

— Myślę, że teraz już nie umrę.

Podróż aż do Saïghon znużyła go, ale świeżość nocy dawała mu odpoczynek. W Saïghon doznał dziecinnej radości, znalazłszy się na Sanghalien'ie, którym odjeżdżali.

Stan jego nie przestawał odtąd polepszać się. Cały czas znajdował się na pokładzie między Janem i Fryderykiem, nakazując im mówić... mówić i znajdując w ich poufałości niezmierny urok. Na Ceylonie mogli wysiąść na ląd i przejść się pośród wspaniałej flory, która opasuje miasto,

ale gdy młodzi ludzie wydawali okrzyki podziwu, mówił im:

— Wszystko to nie warte jednej łaki we Francyi, z zaslona z drzew topolowych i piękną rzeką!

Z Ceylonu Jan i Fryderyk wysłali depesze, oznajmiając już swój powrót. Reszta podróży przeszła bez wypadku.

Przybyli do Marsylii z końcem sierpnia. Niezliczone tłumy stały w porcie. Pogoda była wspa-
niała, słoneczna. Pułkownik, Jan i Fryderyk
stali właśnie na przodzie okrętu. W chwili, gdy
statek przepłynął obok grobli portowej, jakaś dama
dość młoda, znajdująca się w pierwszym rzędzie,
krzyknęła przeraźliwie, poczem padła zemdlona.

— Moja matka! — krzyknął Jan Renaud —
Mama!...

I z wyciągniętymi ku niej ramionami, wybu-
chnął łkaniem, szepecząc dziecinnie:

— Mamo, mamol... moja mateczko!

Koniec części pierwszej.

Biblioteka najnowszych powieści i nowel.

PIOTR SALES.

Sierżant Renaud

z cyklu p. t. „MŁODA FRANCYA“

przetłumaczył z francuskiego

L. 912.

CZĘŚĆ DRUGA.

LWÓW. 1900.

Drukarnia narodowa St. Maniecki i Spka.



SIERŻANT RENAUD.

Część druga.





VII.

Upadek wielkiego rodu.

Tryb życia, jakie wiodły panie de Villepreux, był oddawna przedmiotem uwielbienia mieszkańców przedmieścia Saint-Germain. Wiedzano już dawno z całą pewnością, że markiz Honoryusz de Villepreux przez swą opłakaną administracyę zrujnował swoją matkę i żonę, a jednak nigdy nikt nie słyszał od tych szlachetnych istot skargi, nikt nigdy nie widział w ich oczach smutku, nikt nigdy nie śmiał uczynić im najmniejszej wzmianki o zmianie położenia. Stara markiza miała dwie przyjaciółki, żadnej jednak nie zwierzyła się ze swego nieszczęścia. I mimo chęci dowiedzenia się wszystkiego, która roznamiętnia Paryżan tak samo jak mieszkańców prowincyi, musiano zadawałniać się tylko pozorami, świadczącymi o upadku tego wielkiego rodu.

Ogólnem jednak było zdanie, że upadek ten był znoszony z całą szlachetnością przez kobiety, z nikiemnością zaś przez markiza. One wołały utrzymać stary pałac przy ulicy Saint-Dominique, co niebywale zdumiewało niedyskretnych. Bo w końcu, mówiono, wystarczyłoby sprzedać tę piękną posiadłość, aby zrealizować przynajmniej milion; i stanowisko rodziny de Villepreux, nie będąc błyszczeniem, byłoby przynajmniej przyswoitem; utrzymali by się na dawnej stopie.

Wdowa, do której należał pałac, nie była prawdopodobnie tego samego zdania, ponieważ odrzuciła oferty, które jej czynił notaryusz Florimont, a tem samem i innych kupców.

— Pałac zostanie przy rodzinie! — odpowiadała krótko.

Biedny, stary pałac! Nie posiadał już niestety tego swego pięknego wyglądu, co niegdyś. Trawa zarastała dziedziniec; nie było wcale ani stróża, ani ogrodnika. Stajnie były puste. A jedyny powóz stał na tak świetnem niegdyś podwórzcu, stary, biedny powóz, którego nikt nie chciał kupić!...

Wszystkie apartamenta w parterze były zamknięte. Panie de Villepreux zajmowały pierwsze piętro z taką prostotą, jak gdyby mieszkaly

w zwykłych pokojach za 2000 franków. Obsługiwała ich jedna służąca do wszystkiego i jedna pokojówka. Honoryusz zachował dla siebie oddzielne skrzydło. Obsługiwał go zawsze Guépin, lecz ten przeważnie żył poza domem.

Stara markiza przeznaczyła pokoje pierwszego piętra na zwykłe mieszkanie. Jedna mała sala jadalna, jeden salon dość duży, pokój dla synowej, pokój dla wnuczki, jeden pokój dla Fryderyka i jeden dla niej, w którym pędziła życie.

Z początkiem sierpnia trzy kobiety były zebrane w tym pokoju. Henryetta czytała głośno nowiny z Tonkinu, gdy nagle ukazał się Honoryusz z depeszą w ręku, i głosem spokojnym, bez cienia wzruszenia, zapowiedział:

— Fryderyk wraca.

Kobiety podniosły się szybko.

— Bogu niech będą dzięki! — wykrzyknęła babka.

Henryetta z zapartym ze wzruszenia oddechem nie wyrzekła słowa. Ale matka zapytała gorączkowo:

— Spodziewam się, że nie chory?

— Ależ nie, kochana przyjaciółko...

— Ani ranny?

— Ależ nie, nie — odrzekł Honoryusz oschle. —

Heż to wzruszeń z powodu jednej nieszczęśliwej wyprawy do Tonkinu! Ponieważ syn nasz został żołnierzem, słusznie, żeby ponosił wszystkie konsekwencje swego zawodu!

Oto z jaką obojętnością markiz de Villepreux miał zwyczaj mówić o swoim synie. Potem dodał:

— Oto jego depesza... i wyznaję wam, że mię ona tylko w połowie zadawała.

„Pułkownik Brettecourt nabawił się gorączki z powodu lekkiej rany i wraca do Francji. Jan Renaud i ja przeznaczeni jesteśmy do jego towarzystwa na „Sanghalienie.“ Ściskam was wszystkich.

Fryderyk“.

Markiza wdowa zmarszczyła brwi.

— Cóż jest w tej depeszy mój synu, co ci się nie podoba?

— Ależ... ta rola opiekuna nad chorym, którą przeznaczają mojemu synowi! I opiekuna czyjego? Człowieka, którego nie możemy widywać! Ta poufność nie podoba mi się... tak samo jak przyjaźń względem Jana Renaud, o której pisał nam Fryderyk. Rozmówię ja się z Fryderykiem po jego powrocie, co do łatwości, z jaką obdarza przyjaźnią ludzi nieznanych... Zostawmy to jednak

do jego przyjazdu. Adieu, moje panie, więcej się już nie zobaczymy tego wieczora, interesa składają mię do obiadowania poza domem.

Wyszedł, złożywszy krótki pocałunek na czole swej córki, która natomiast uściskała go serdecznie. I znowu trzy kobiety zostały same. Upadły wówczas na kolana a markiza wdowa wypowiedziała ze wzruszeniem:

— Zachowałeś nam naszego Fryderyka... Boże! niech Imię Twe Święte będzie pochwalone!

Skończyły się wreszcie ich niepokoje od tyłu miesięcy i ta gorączka, która je ogarniała zawsze, gdy Henryetta czytała z dzienników wieści z Tonkinu.

— Mój ukochany braciszek! — szeptało młode dziewczę. — Zdaje mi się, że nigdy nie nasłucham go się do woli. Każę mu opowiadać sto razy jedną i tę samą bitwę...

— Nigdy nie nużyło mnie opowiadanie mego starszego syna — szeptała wdowa, ze wzrokiem utkwionym w niebo.

— Przynajmniej syn mój jest godny jego! — powiedziała dumnie młoda markiza.

— A zatem do pracy! — wtrąciła Henryetta. — Nie mamy zbyt wiele czasu przed sobą. Fryde-

ryk przysłał depeszę z Ceylonu, zatem będzie tutaj z końcem miesiąca.

I oddały się pracy. Henryetta haftowała dla swego brata poduszeczkę. Obie markizy zaprzęły się do wielkiej roboty tapicerskiej nad pięknym fotelem à la Ludwik XIII., który Fryderyk zastał po powrocie za stołem. W jednej chwili wszystkie uczuły się szczęśliwe, bo myślały tylko o nieobecny, lecz wkrótce twarze ich pośród ciszy zajęcia powlokły się smutkiem, wszystkie trzy bowiem bez porozumienia się rozmyślały o tem, jakiej nagany udzieli markiz swemu synowi.

Szczególniej stara markiza posmutniała. Honoryusz także i teraz zatrul jej rozkosz ujrzenia Fryderyka... tak jak zatrul jej całe życie!

I w jednej chwili wszystkie smutki, jakich jej syn stał się przyczyną, odbiły się w jej oczach. Od czasu gdy Honoryusz stał się panem wszystkiego, widziała oddalanych służących, swych starych domowników.

Markiza nie ukrywała wcale przed synem swego niezadowolenia.

— W naszym domu oddała się tylko takich służących, którzy zawinili — powiedziała mu.

Pod tym względem jak i pod wielu innymi próbował Honoryusz się tłumaczyć, przedstawić

matce słuszne powody. Ponieważ mu się to nie udawało, więc dał temu pokój.

Majątek zaś piękny niszczał i malał z dnia na dzień. Honoryusz był graczem, niepoprawnym graczem; graczem w klubie, graczem na wyścigach, graczem wszędzie!

Z punktu zapatrywania się na pożycie małżeńskie prowadził życie nienaganne, miał pozór wiernego małżonka, otaczał markizę względami, nie obdarzając jej jednak przytem czulszymi dowodami miłości. Zachował dla Julii pewną wdzięczność za majątek, jaki mu wniosła.

Zresztą czerpał z niego ile chciał i zadawał-
niał swe fantazje.

Gdy stara markiza dowiedziała się, że jej własność d'Angoville została przeciążoną długami powyżej wartości, zrozumiała ohydny komedję graną przez syna i postanowiła go wybadać.

Ten zapewnił ją, że dobra niosły bardzo mało, i że otrzymane stąd kapitały włożył do wielkich przedsięwzięć. Stara markiza nie badała dalej. Spodziewała się, że życie rodzinne, miłość dzieci, które dorastały, będą miały wpływ zbawienny na jej syna. — To tak trudno matce zwątpić zupełnie!...

Jednakże nie chciała dłużej przebywać w An-

goville. Nadto tam cierpiała. Od tego czasu rodzina de Villepreux nie opuszczała pałacu przy ulicy Saint-Dominique. Był to wielki błąd. Gdy zamieszkiwali d'Angoville przez cztery miesiące w roku, Honoryusz oddalał się na ten czas od gorączkowej atmosfery życia paryzkiego, nie grał więcej, wypoczywał, rozmyślał nad położeniem. Nie postanawiał wprawdzie nic rozsądnego, ale przynajmniej przestawał niszczyć majątek. Gdy matka odmówiła powrotu do Angoville, od tej pory nie przestawał grać. Nie opuszczał Paryża, jak tylko na sezon wyścigów w Deauville i podczas niektórych wycieczek hippodromowych na prowincję. Wszędzie prowadził ze sobą wesołą bandę, żyjącą na jego rachunek. A życie markiza za domem było bardzo swobodne.

Początkujące aktorki, woltyżerki z cyrku, corps de ballet z opery, wszystko to żyło kosztem Honoryusza de Villepreux.

Julia wkrótce poznała, że mąż opuścił ją na zawsze. Płakała w milczeniu ale się nie skarżyła... A Honoryusz podrażniony widokiem tej smutnej a zarazem słodkiej twarzy, na której lży pozostawały swoje ślady, coraz mniej pokazywał się w domu. Żył w klubie, albo gdy był u siebie, prowadził bezustanne konferencje z Guépin'em.

Guépin, godny służący swego pana, nie zestarzał się tylko trochę utył. Nosił wprawdzie ciągle tytuł lokaja, ale był raczej powiernikiem, oddanym zupełnie markizowi. — Przytem ulegał tym samym namiętnościom co i jego pan i tracił w grze albo na głupstwa wszystkie pieniądze, jakie mu wpadały w ręce. Guépin miał zawsze pozór bardzo przyzwoity, zawsze starannie był wygolony; był przytem bardzo uważający, słodki, ugrzeczniiony. A jednak mimo to nie można było wstrzymać się od powiedzenia po rozmowie z nim:

— Ten człowiek zdolny jest do wszystkiego!

I był zdolny w istocie. On to sprowadzał kochanki swojemu panu, on namawiał go do nikizemnych kombinacyj wyścigowych, do nieczystych spekulacyj, hańbiących niektórych sportsmanów, z czego zresztą Honoryusz zdawał sobie sprawę doskonale.

Taki stan trwał około piętnastu lat.

Markiza próbowała nieraz strofować swego syna, wykazywać mu niegodziwość jego postępowania, ale on odpowiadał brutalnie:

— Ja jestem panem tutaj!

Pomyślała ona zapóźno o potrzebie rozdziału majątkowego między swego syna i synową. Cały majątek Julii znikł pochłonięty przez grę.

i kobiety. A gdy w końcu, zdecydowane bronić się, zdecydowane bronić majątku Fryderyka i Henryetty, obie kobiety zażądały rachunków od Honoryusza, położenie jego było już bez wyjścia. Wszystko było wyczerpane i cały majątek zagrożony w długach. Stara markiza napowrót objęła rządy. Obchodziła się ze synem ostro, domagała się prawdy i dowiedziała się jej.

— Zhańbiłeś nas, nieszczęśliwy! — rzekła.

To był jedyny wyrzut, jaki mu uczyniła. Wystawiła na sprzedaż zamek d'Angoville. Sprzedała również wszystko, co tylko przedstawiało jaką wartość i czego jej syn nie mógł naruszyć, sprzedała swe brylanty, i dzięki tym ofiarom zapłaciła długi Honoryusza.

Mogła go również wziąć w kuratelę, ale wstrzymała się od tej ostateczności, gdyż nie czuła się na siłach tak ukarać jednego z Villepreux, ojca jej wnuków.

Pozostał im tylko pałac przy ulicy Saint-Dominique. Honoryusz spodziewał się, że i ten zostanie sprzedany. Możliwy zań było dostać przeszło milion, a miał nadzieję, że udało by mu się następnie wyludzić go podstępnie od swej matki, grając komedię miłości synowskiej, aby

mieć czem rozpocząć grę i odzyskać wszystko co utracił...

Gracze są niepoprawni! Ale markiza poniosła już wielką ofiarę, sprzedając d'Angoville; umarła by wprzód, nim by sprzedała pałac przy ulicy Saint-Dominique.

Całą służbę oddalono i sprzedano wszystkie ekipaże i wszystkie konie a markiza prowadziła długie narady ze swoim notaryuszem p. Aristydem Florimont. Było to podczas lata. Świat elegancki był nieobecny w Paryżu. Markiza wysłała dzieci na dwa tygodnie do Normandii nad morze. Gdy powróciły, apartamenta parterowe były szczelnie pozamykane.

— Nikt — oznajmiła poważnie markiza — nie wejdzie odtąd do żadnego z tych pokoi. Przytem nie w nich już niema... sprzedałam nawet wszystkie meble, wszystkie dzieła sztuki...

— Ależ moja matko — wykrzyknął markiz — ten pałac ma wielką wartość, nie powinnaś go zostawiać nieużytecznie. Możliwy go tak łatwo wynająć!...

— Ten pałac należy do mnie i robię to, co mi się podoba. Dopóki ja żyję, żaden obcy nie zamieszka tutaj.. Stoję na straży honoru rodziny de

Villepreux, ponieważ ty go źle strzegłeś i bronię go na swój sposób.

Gdy zaś Honoryusz chciał zaprzeczyć, dodała:

— Ach! nie sądź, nie zdołasz mi ten zamiar narzucić przez nową hypokryzyę! Znam twoją wartość. Nie posiadasz odtąd mego szacunku... Mógłbyś go odzyskać jednakże. Zapomnij o złych nawyczkach, którym ulegasz, stań się godnym nas, swego nazwiska, swego brata! Pracuj jeśli chcesz ale nadewszystko żyj przy nas, porzuć wstrętne, rozpustne życie; twoja żona niema innych pragnień, jak oddać ci znowu swe serce i zaufanie... Co zaś do tego, co mi jeszcze pozostało, o tem nigdy się nie dowiesz! Nie próbuj zaciągać też nowych długów!... nie zapłacę ich. Strzegę tego, com zdołała uratować, jako święty depozyt twego syna. Mój notaryusz dostarczy mi legalnych środków, bym mogła zatrzymać co posiadam. Kiedyś Fryderyk się ożeni; musi zamieszkać tutaj. Schronienie rodziny de Villepreux pozostanie w rodzinie i nigdy zeń nie wyjdzie.. Będę pamiętać o twych osobistych potrzebach. Możesz zatrzymać, jeśli chcesz, twój dawny tryb życia, do którego jesteś przywiązany bardziej, aniżeli do nas. Ale nie już nie znaczysz tutaj, nie!

Lekcyja była daremna. Po kilku miesiącach

Honoryusz wyrzekł się znów życia samotnego z żoną i matką, zwłaszcza gdy przekonał się, że cała hypokryzya nie doprowadzi do przekonania wdowy. Oznajmił swej matce, że ponieważ ona jest nielitościwa, nie ma dla niego względów, on będzie sam zajmował się swymi interesami.

Jego miłość własna nawet nie cierpiała. W oczach świata zachował zawsze pozór pana domu, gdzie traktowano go ostentacyjnie z największymi względami. Na pozór go szanowano, co nie mogło mu się nie podobać, jako człowiekowi despotycznemu, egoście i kochającemu się choćby w pozorach swego mniemanego panowania.

VIII.

W n u k.

Skwarny sierpień miał się ku schyłkowi.

Henryetta nie czytała już teraz więcej wiadomości z Tonkinu; studyowała bardzo poważnie sprawozdania o pogodzie, które dzienniki podawały. Wierzyła w przepowiednie; drżała za każdym razem na wzmiankę o burzy, która rozpoczęła się na morzu Indyjskiem albo Południowem.

Bibl. najnow. pow. i nowel — Tom IX.

Przyniosła sobie atlas do pokoju babki i maleńkimi szpileczkami znaczyła każdego dnia stacye „Sanghaliena“.

Aż wreszcie nadeszła ostateczna wiadomość:

„Wszyscy trzej wylądowaliśmy w dobrym zdrowiu. Będziemy jutro w Paryżu. Uściski

Fryderyk“.

Stara markiza tryumfowała. Henryetta zaczęła skakać z radości jak dziecko. Matka zaś zbladła i nagle przestała oddychać, jak gdyby życie w niej zamarło. Była zawsze jednakowo słodka, cicha, ukrywająca swą boleść z poddaniem się bezgranicznem.

Biedna skazana istota, która zasługiwała tak bardzo na życie szczęśliwe, a która odnajdywała jasne chwile tylko we wspomnieniach panięńskich!... Czy ten syn ukochany zdoła dać jej szczęście bez troski w przyszłości? Znała go lepiej niż babka, znała cały gorący temperament, który wrzał w nim pod zewnętrzną powłoką słodczy. Mówiła sobie, że nie może on w niektórych względach nie być podobnym do swego ojca i obawiała się dlań tego życia paryskiego, do jakiego został stosunkami zmuszony. Jedną okoliczność dodawała jej otuchy: syn jej wracał z pułkownikiem de Brettecourt...

Dlatego też była niemile dotknięta, gdy mąż jej biorąc depeszę, podkreślił złośliwie:

— Cóż to ma znaczyć: wylądowali we trzech?

— Czyż zapomniałeś mój przyjacielu, że syn nasz powraca do Francyi razem z pp. de Brettecourt i Janem Renaud?

— Ah tak, pamiętam... — odrzekł Honoryusz pogardliwym tonem. — Jest prawdopodobnem, że przybędą także razem do Paryża...

— Bez wątpienia...

— A zatem! niech żadna z was nie pokazuje się na dworcu oczekując na Fryderyka i byłoby mi niezmiernie nieprzyjemnie, gdyby ta okoliczność zbliżyła nas do de Brettecourta.

— On był tak dobry dla Fryderyka! — zawołały naraz obie kobiety.

— Przepraszam cię matko — mówił dalej uroczyście Honoryusz — pozwól sobie powiedzieć, że jeśli ty zapomniałaś o śmierci mego brata, to ja noszę ciągłą żalobę w sercu. Jeśli Brettecourt okazał się dobrym względem hrabiego de Villepreux — lubiał nazywać tak swego syna — to jest to sprawą między nim a hrabią de Villepreux, zresztą dam memu synowi odpowiednie instrukcje w tym kierunku... Dam mu je również co do tego sierżanta Renaud, który jak widzę zajmuje ważne

miejsce w jego życiu. Gdy się ma zaszczyt nazywać de Villepreux, wybiera się przyjaciół w swojej sferze...

— Ależ on mu ocalił życie, mój ojciec.

— Moja droga Henryetto, nie trzeba się powo-
dować w życiu sentymentem i twój brat to zrozumie, jak się spodziewam!...

Dzień następny był dniem wielce radosnym. Wdowa w swej niecierpliwości wstała naj-
pierwsza. Udała się do pokoju swojej synowej,
która nie zmrużyła oka, spędziwszy noc siedząco
na łóżku, z okiem utkwionem w zegar. Widziała
swego syna i ta myśl ją prześladowała: dla czego
mam być posłuszną, dla czego nie mam go uści-
snąć wcześniej?..

Henryetta zaś postanowiła sobie nie spać,
ale nad ranem upadała ze znużenia. — Przy-
gotowała też swą najpiękniejszą suknię. Chciała
być piękną dla brata!

— Fryderyk!

Było to jej pierwsze słowo, gdy się obu-
dziła.

Guépin pojechał oddawna już na dworzec.

Młoda dziewczyna szybko wzięła się do ubie-
rania, poczem zaczęła stroić pokój swego brata.

Nie skończyła jeszcze go upiększać, gdy jakiś
powóz zatrzymał się przed pałacem.

Trzy kobiety podbiegły do okien. Zobaczyły
Fryderyka, przechodzącego szybko przez podwórze.
Zatrzymał się przed wejściem... Miał chwilę wa-
hania... poczem popędził do westybulu.

Na środku schodów spotkał swego ojca,
który schodził etykietalnie, nie okazując najmniej-
szego wzruszenia. Uściskał swego syna z powagą,
chłodno. Fryderyk ścisnął go z całem wyla-
niem, szepcząc:

— Mój ojciec! mój ojciec! Jak to dobrze widzieć
cię znowu!

Honoryusz oswobodził się z tych uścisków,
znajdując, że dość już czułości i szedł mówiąc:

— Sapristi! Tonkin posłużył ci mój synu, wy-
glądasz wspianale.

Podczas gdy Fryderyk przebiegł I-piętro i
rzucił się w objęcia swej matki, markiz zeszedł
na dół. Guépin nadszedł, niosąc walizkę Fry-
deryka.

— I cóż? — zapytał Honoryusz cichym głosem.

— Pan sierżant Renaud pozostał w Marsylii ze
swoją matką, która wyjechała naprzeciw niego
i jest cierpiąca.....

— Poważnie?

— Ah bah! — odpowiedział Guépin wstrząsając ramionami—czy tacy ludzie mogą na żarty chować?

— A pułkownik de Brettecourt?

— Przybył razem z p. Fryderykiem.

— Postarzały?

— Postarzały?... Ah tak. Włosy białe jak śnieg, ale wygląd młodzieńczy! Dobrze jeszcze wygląda panie!

— Dobrze, dobrze — poczem zawołał głosem donośnym: — Spiesz się, Guépin! Zanieś natychmiast te rzeczy do pokoju p. Fryderyka!

Poczem poszedł do pokoju swej matki i nie miły, sarkastyczny uśmiech ironii zjawiał się na jego ustach, na widok Fryderyka, siedzącego między trzema kobietami, które nie wiedząc z powodu wzruszenia, co mu wprzód powiedzieć, podziwiała go tylko milcząc. Pierwsze wybuchy były szalone: ścisnęły go — przeplatając uściski słowami czułości, wyrывая go sobie po kolei, „zjadając“ go w pocałunkach. A teraz patrzyły na niego jak na bóstwo i zdawało im się, że nigdy ich nie porzucił, że zawsze był tutaj, obok ich serc. A on, nie mogąc słowa przemówić, szeptał tylko:

— Mamó... babciu... Henryetto!

Honoryusz przybliżył się cicho i z cierpkim uśmiechem na ustach wycedził: — Rozporządzaście nim wszystkie dzisiaj według waszej woli, gdyż później przypomnę wam, że on należy do mnie również tak jak i do was! Czy pozwolicie i mnie cieszyć się nim teraz? — rzekł słodko wsunawszy się między żonę i córkę.

Syn uściśnął go serdecznie. Poczem na ogólną prośbę zaczął opowiadać o swej kampanii, kładąc główny nacisk na usługi, jakie mu oddali Jan Renaud i de Brettecourt, nie wymieniając ostatniej, która omal o śmierć nie przyprowadziła pułkownika. Za każdym razem gdy wymawiał te imiona, ojciec przeszywał go ostrym wzrokiem a Fryderyk spuszczał oczy. Gdy skończył opowiadanie, Honoryusz wziął go pod ramię, mówiąc:

— Przejdź na chwilę do mego gabinetu.

— Na chwilę! — rzekł czule do kobiet.

Gdy ojciec z synem znaleźli się sam na sam w gabinecie markiza, ten ostatni klepiąc czule po łopacie Fryderyka, rzekł:

— A zatem znów stajesz się Paryżaninem... Chciałbym, abyś otrzymał długi urlop.

— Jeżeli chodzi o trzy do sześć miesięcy, to pułkownik de Brettecourt musi spytać ministra o to...

— Brettecourt!... Brettecourt! — przerwał markiz tonem znudzonym — masz tylko tego Brettecourta na ustach! Gdybyś wiedział co on zrobił, mówiłbyś trochę rzadziej o nim... przed babką szczególnie..

— Ja wiem, co on zrobił — odrzekł spokojnie Fryderyk.

— Ah! ty wiesz? — wyjąkał markiz trochę zbity z tonu — sądziłem, że twoja babka zabroniła ci dowiadywać się...

— Mój ojciec, uszanowałem rozkaz babki, ale... pewnego dnia gdyśmy znajdowali się w wielkim niebezpieczeństwie, hrabia de Brettecourt chciał, abym poznał prawdę. I jego smutne wyznanie tylko podwoiło afekt, jaki już doznawałem dla niego... On jest tak nieszczęśliwy!

— Jesteś jeszcze bardzo młody, mój synu — odpowiedział chłodno markiz — bardzo młody! I widzę, że bardzo będziesz potrzebował rad moich, aby się nimi rządzić w życiu!

Prędko jednak otrząsnął się ze swego niezadowolenia, znalazłszy doskonałą sposobność, by zaznaczyć syna ze swoim zdaniem o pułkowniku.

— Brettecourt jest bardzo nieszczęśliwy, ale my jesteśmy także takimi i to przez niego! Przebaczyliśmy mu nieszczęście, jakie spowodował,

za które nie jest odpowiedzialny; ale stosunek jest na zawsze zerwany między nim a nami. Twoja babka, wdzięczna za to, co dla ciebie uczynił, być może zgodzi się na to, by go widywać, mimo że prosiła go niegdyś, by nawet nie pisał do nas, tak sam widok jego pisma sprawiał jej ból...

— Wiem o tem...

— Do diabła! pułkownik wcale nie szczędził ci chyba swych zwierzeń!... Czy objaśnił ci także okoliczności szczególnie bolesne... które towarzyszyły śmierci mego brata?

— Zrobił wzmiankę w istocie o tych okolicznościach, ale dodając, że nie do niego należy objaśniać mnie o tem.

— To szczęście — rzekł markiz uspokojony odpowiedzią syna.

— I mam nadzieję — rzekł z godnością Fryderyk — że mój pułkownik zostanie przyjęty przez was jako niegdyś przyjaciel. Tyle mu jestem winien!

— Żałuję, mój synu, że nie mogę ci nawet zrobić nadziei — oznajmił sucho markiz. — Napiszę do Brettecourta z podziękowaniem, ale nie chcę, by noga jego przestąpiła nasz próg. Byłby to postępek bardzo nierozważny. Twoja matka i babka uniesione szlachetnością serca, nie chciały

by może w tej chwili nie przyjąć człowieka, który okazał się tak dobrym dla ciebie. Ale pożałowałyby tego wkrótce. Wspomnienia wzięłyby górę nad wdzięcznością obecną, a radość ustąpiłaby wkrótce miejsca łzom... A zatem niech już więcej nie będzie mowy o de Brettecourt!

— Dobrze mój ojcze — rzekł Fryderyk, zaledwie powstrzymując się od okazania, do jakiego stopnia został zraniony — zastosuję się do twej woli!...

— Co do tego sierżanta Renaud, możesz go widywać, jeśli ci tak się podoba. Utrzymuj z nim stosunek, ale po za obrębem pałacu!...

— Przyrzekłem mu przedstawić go mej rodzinie.

— Postąpiłeś nierozważnie... Wreszcie dotrzymaj twego przyrzeczenia; przyprowadź go tutaj... raz jeden. Ale niech nie sądzi być naszym przyjacielem dla tego, że jest twoim... Bądź bardzo roztropny z nim... Masz siostrę...

— Ależ ojcze!

— Ani słowa więcej, proszę, o tym panu, którego nie mam najmniejszej ochoty poznać... Idź do kobiet... Zrozumiesz później znaczenie moich rad!...

Fryderyk oddalił się wzburzony. Miał serce przepełnione miłością dla swych przyjaciół! Ale

znalazłszy się z siostrą, która z dziecinną radością pokazywała mu wszystkie zmiany, zaprowadzone w jego pokoju, pokonał wkrótce wrażenie, jakie wywarła na nim rozmowa z ojcem. Dzień cały upłynął na długiej rozmowie, długich opowiadaniach.

Markiz wyszedł po śniadania i nie wrócił wcale na obiad; nie zamroczyło więcej szczęścia Fryderyka.

Wieczór wszyscy siedzieli do późna. Markiz wrócił dopiero wtedy, gdy cały dom zdawał się być uśpionym.

Fryderyk jednakże nie spał; nie mógł zasnąć przed wyznaniem matce i babce szaleństwa, któremu nawet zawdzięczał swój nieoczekiwany przez nie powrót.

Markiz wrócił około północy. Fryderyk czekał jeszcze chwilę, a gdy sądził, że ojciec już spi, skierował się cicho ku pokojowi swej matki. Znalazł Julię de Villepreux modlącą się przy kłęczniku przed krzyżem, zaledwie oświetlonym słabym światłem lampki.

— Co robisz, mamó?

— Dziękowałam Bogu jeszcze, że zachował cię od wszelkiego niebezpieczeństwa... Ale dlaczego nie spisz?

Zwrócił się do niej i wyszeptał:

— Ponieważ mam duszę rozdartą cierpieniem, wyrzutami... Muszę ci wyznać mój błąd...

— Błąd... wyznać... mnie — mój synu?

— Tobie najprzód, moja matko najdroższa... potem babce, głowie naszego domu...

Zaledwie dokończył tych słów, gdy drzwi, które prowadziły z pokoju Julii do pokoju jej teściowej, otworzyły się i ukazała się stara markiza,

— Czyś cierpiąca Julio? — zapytała.

Nieszczęśliwa matka nie mogła powstrzymać krzyku boleści.

Wdowa wtedy spostrzegła syna.

— Aha — rzekła uśmiechając się — rozmawiacie jeszcze... Sam na sam matka z synem! Zaśłużyliście na to moje dzieci. Dobranoc! — i chciała zwrócić się by odejść, ale Fryderyk podbiegł do niej:

— Babko!

I było coś tak błagalnego w tem słowie, że spojrziała niespokojnie na swego wnuka... Stał tuż obok lampki. Spostrzegła jego postać zgłębnioną, jego łyzy błyszczące...

— Potrzebujesz mnie, Fryderyku?

— Babko! babko!

Rzucił się na kolana.

— Ty grałeś! — wymówiła strasznym głosem wdowa de Villepreux.

Odgadła natychmiast. Odpowiedział tylko głową. Matka jego rzuciła się na kolana tuż obok niego, zaklinając starą markizę. Biedna matka. Jej podejrzenia prędko się spełniły; jej szczęście trwało zaledwie dzień jeden bez chmury.

— Nieszczęśliwy! — wymówiła trzykrotnie wdowa. — Ty grałeś... ty... Nieszczęście więc zawisło na zawsze nad naszym domem! Myśmy całą nadzieję w tobie pokładali!

— Babko, wysłuchaj mnie. Od czasu mego szaleństwa rozważałem gorzko... Gdybyś wiedziała, jak straszną otrzymałem lekcję; gdybyś wiedziała, ilem wycierpiał... Dziś jeszcze mogłaś być spostrzedz, że zatrzymałem się przed przekroczeniem progu tego domu... Wahałem się.. wysłuchaj mnie, zaklinam cię, z pobłażliwością, jaką mi zawsze okazywałaś!... Zaklinam cię w imię Jana de Villepreux!

— Mów!

— Przybywszy do Hanoi, gdy otrzymałem rangę kapitana tak młodo, za młody niestety, słaby, bezbronny przed pokusami... Taką czułem potrzebę znalezienia się przy was... Byłybyście mię umocniły przeciwko pokusom, przeciwko

uniesieniom... Fetowano bardzo mój awans; weszło to już w modę kończyć te uczty grą. Przekłęte szczęście chciało, że wygrywałem z początku... Nabrałem szczególnej ochoty do tej wstrętnej namiętności... Widzicie, że spowiadam się szczegółowo... Tak raz przegrywając, drugi raz wygrywając, zawisłem nad fatalną przepaścią!... Grałem następnie nie tylko już z kolegami, ale z francuskimi negocjantami. U nich grało się wyżej. Przegrałem to co wygrałem. I pewnego wieczoru, przysięgam wam, że to było podejszcie... oszołomiony przez opium, nie wiedząc co czynię, przegrałem na słowo 30,000 fr... i...

— I Brettecourt pożyczył ci tę sumę — dokończyła markiza surowo, z pogardą. — Nieszczęśliwy!

— Matko, matko — szeptała Julia. — Miej litość nad moim dzieckiem!

— Mów dalej — powiedziała markiza.

— Pułkownik de Brettecourt w istocie dowiedział się o moim szaleństwie... i z delikatnością, o jakiej trudno nawet mieć pojęcie...

— Tak, tak — przerwała wdowa — znam doskonale delikatność pana de Brettecourt.

— Ofiarował mi tę sumę. Odmówiłem z początku i mimo przyrzeczenia danego ci, powiedziałem mu, że nie przyjmę jego propozycji, dopóki

mi nie wyjawí tajemnicy, która was rozdziela. Gdyby mi był jej nie wyjawíł, byłbym odrzucił pomoc...

— To dobrze — wyszeptała wdowa.

— Moje biedne dziecko — wyjąkała Julia.

— Ale gdy mi opowiedział nieszczęście swego życia, zrozumiałem, że miał większe niż kto inny prawo do uratowania mnie! Przyjąłem więc... Wieczorem miał mi przynieść pieniądze... Lecz ponieważ miał je przy sobie, został napadnięty przez bandytów i byłby nawet zginął, gdyby nie Jan Renaud, który go wyratował w sposób zupełnie opatrnościowy... Otrzymał tylko ranę...

— Ranę... przez ciebie?

— Tak babciu i mimo rany, kazał się zaprowadzić do mnie Janowi Renaud... I tu dopiero spostrzegł, że go okradziono... Sądziłem się zgubionym! Jan Renaud szczęśliwym zbiegiem okoliczności posiadał kwotę, jakiej potrzebowałem... Pułkownik poprosił go o pożyczenie jej, zapewniając go, że jest mi winien...

— To pięknie ze strony de Brettecourta — wykrzyknęła markiza.

— I mimo, że przyniesiono go na wpół zemdlonego, zebrał wszystkie swe siły, by mię ocalić... Zapłaciłem mój dług... Moja dobra babko,

możesz nie wierzyć moim słowom, ale przysięgam ci, że ta przeklęta namiętność umarła we mnie.

Zapanowało długie milczenie. Stara markiza cierpiała strasznie. Tak chciała widzieć we Fryderyku swego Jana bez plamy, bez żadnej słabości. Po chwili rzekła surowo:

— Dzisiejsze rody zapominają bardzo łatwo o tem, co winne swemu nazwisku! Zapłacę twój dług... twój podwójny dług, gdyż życzę sobie, żebyś zwrócił sierżantowi Renaud i pułkownikowi de Brettecourt. Pułkownik nie jest bogaty, a to co stracił, stracił z twojej przyczyny.

— Dziękuję ci babko... Ale nie tylko tego oczekuję od ciebie...

— Czegoż chcesz więcej?

— Twojej miłości, twego przebaczenia, twego szacunku, babko!... Czyż mógłbym żyć pod tym dachem, gdybyś mię uznała za niegodnego? W imię mego wuja Jana!

— Ah! nie mogę przecież uczynić mniej, niż Brettecourt — wykrzyknęła markiza, zalewając się z kolei łzami. — Powstań i chodź w moje objęcia!..

IX.

Córka pana Florimont.

Zdziwiono by bardzo notaryusza Florimont, gdyby mu powiedziano, że był panem u siebie w domu — co zresztą nie było prawdą. Nie był nim nigdy. Najpierw był bardzo powolnym sługą swej żony i było to zupełnie naturalne, ponieważ jego żona była córką jego dawnego szefa. Był posłuszny ojcu a potem jeszcze córce. Posłuszeństwo zresztą było bardzo przyjemne. Pani Florimont była osobą cichą, kochającą, pełną zalet wewnętrznych, o których marzył notaryusz przed ożenieniem się.

Pan Florimont dorobił się majątku, mimo to jednak nie zmienił trybu życia, podobnego we wszystkim do trybu życia, jaki panował u jego teścia. Piękny apartament, dobry stół, porządne życie burżuazyjne, przyzwoita willa w Chaville i skromny powozik, ciągniony przez konie spokojne jak ich właściciel. Ten tryb życia dogadzał doskonale obojgu małżonkom.

Ale od chwili śmierci pani Florimont skutkiem wypadku, mającego miejsce w roku 1875

powoli zmiany zachodziły w domu notaryusza, które go jednak przecież nie raziły.

Liczne te zmiany były zaprowadzane przez pannę Ludwikę Florimont, bardzo samowładną córkę pana Florimont, bardzo samowładną ale rządzącą w sposób tak przyjemny, pieściotliwy, że gdy notaryusz zatwierdził kaprysy swej córki, był zupełnie pewny, że to była jego myśl.

W epoce, w której Fryderyk de Villepreux przybył z Tonkinu, Ludwika miała lat 18 i był to najpiękniejszy klejnot między Paryżankami, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Mała, ale ślicznie ukształtowana, z piękną płową główką, różową buzią, śmiejącemi usteczkami, przesłicznym noskiem, miała duże zielone oczy, bardzo wyraziste, ocienione długimi rzęsami. Otwierała je szeroko, gdy rozchodziło się o przedstawienie ojcu nowego kaprysu, jak n. p. o piękny pokój w stylu Ludwika XVI. o buduar w innym stylu, lub o toaletę w takiej cenie, która wydawała się notaryuszowi wprost fantastyczną.

Gdy raz kaprysy zostały spełnione, notaryusz zwykł mawiać poważnie:

— Moja córka miała nieładny pokój... Zrobiłem jej niespodziankę, zamieniając go na pokój a la Ludwik XVI... Potem zmieniłem buduar... A jej

toaleta... To biedne drogie małeństwo! Odgadam jej życzenia... Ona taka dobra... Czynię jej niespodzianki!

Tak sądził. Ludwika pozwalała myśleć ojcu, co mu się podobało. Była to osóbką praktyczną, umiejąca ukrywać swą władzę. Ale była przytem i dobra, o charakterze prawym, z pewną rycerskością i szlachetnością względem nieszczęśliwych. Wykształcenie otrzymała staranne, zupełne i bardzo inteligentnie skorzystała z nauk, jakie otrzymała od markizy de Villepreux, która była jej matką chrzestną. Markiza wistocie dotrzymała swoich obowiązków, pojawiając rolę chrzestnej matki poważnie. Przywiązanie jej wzrosło od czasu śmierci pani Florimont. Ludwika była jedyną przyjaciółką Henryetty de Villepreux, a ruina domu de Villepreux tylko bardziej jeszcze zacieśniła węzły przyjaźni między dwoma dziewczętami.

Notaryusz był z tego szczęśliwy, gdyż kochał bardzo i żałował w głębi serca panie de Villepreux, przytem pochlebiało mu to, że widział swoją córkę w serdecznej zażyłości z jedną z najslawniejszych rodzin Francji... Miał zwyczaj mówić:

— Te panie de Villepreux są zachwycające... Uwielbiam te panie de Villepreux!

Było więc zupełnie naturalne, że Ludwika także przyzwyczaiła się uwielbiać swe przyjaciółki, a jeśli to uwielbienie nie rozciągało się na Honoryusza de Villepreux, którego zawsze zimne oblicze przejmowało trwogą młode dziewczę, za to przeszło i to bardzo szeroko na Fryderyka. Notaryusz nie widział w tem nic niestosownego, gdy Fryderyk był bogatym spadkobiercą, ale od czasu ruiny tego domu, chociaż ta ruina nie była wcale winą Fryderyka, pan Florimont zaczął podejrzliwie go traktować. „Jaki ojciec, taki syn!“... myślał i był podrażniony niewinnemi grzecznościami, jakimi Fryderyk otaczał jego córkę.

Co do Fryderyka, to ten nie zwracał nawet najmniejszej uwagi na tego „łobuza“, którego widział ciągle jako podlotka w sukienkach z jego babki i którego nazywał Ludwiczka tak poufale, jak starego kolegę.

Ludwiczka jednakże już nie była tą małą dziewczynką, która spotkała się z nim po wyjściu jego w Saint-Cyr; ona to pierwsza salutując po wojskowemu, nazwała go „mój oficerze!“

Przed jego zaś wyjazdem do Indo-Chin, powiedziała mu:

„Mój poruczniku!...“ i to tonem tak figlarnym, że ktoś inny byłby to zauważył... Ale czy może cokolwiekbądź zauważyć ten, kto płonie tylko chęcią walczenia?

A potem dla Fryderyka, Ludwika zawsze pozostała małą Ludwiczka...

Od tego wyjazdu pan Florimont musiał kupić mapy Azji bardziej kompletne. Jego córka powzięła szczególne zamiłowanie do geografii i śledziła przebieg wojny z gorączkowym zapalem.

Podczas całej nieobecności Fryderyka, jej kaprysy gdzieś znikły. Tonkin jeden zajmował ją. Ale gdy wiadomość o jego powrocie doszła do jej przyjaciół, Ludwika pochłonięta została gorączką elegancyi. Odbywała długie narady z modystką i krawcową, co się kończyło sążnistemi rachunkami przedstawianemi kasie panu Florimont, które notaryusz regulował bez najmniejszej oznaki niezadowolienia, a nawet gdy córka zaczęła mu przedstawiać, że umeblowanie ich salonu nie stoi w zgodzie z ich materyalnem położeniem i że ich kareta—ta dobra kareta, z której byli tak dumni—była doprawdy już za starą.

Otworzył więc jej kredyt umiarkowany, z którego nie zaniedbała skorzystać celem całko-

witej zmiany mebli salonu i kupienia powozu wybitego błękitnym jedwabiem.

Co do kupienia konia Ludwika rozważyła, że lepiej poprzód naradzić się z ojcem. A notaryusz mówił sobie na pocieszenie po trochu szalonych wydatkach córki:

— Jaka ta Ludwika jest rozsądna! Zadowolnia się naszą dobrą starą szkapą...

Gdyby był znał pogardliwe zdanie, jakie jego córka miała o tej starej szkapie!...

*

W dniu, w którym Fryderyk przybył do Paryża, Ludwika od rana wydawała rozkazy z gorączką, z niecierpliwością szaloną. Nie mogła usiedzieć kilka minut na jednym miejscu, schodziła ciągle do gabinetu ojca, co go zachwycało gdy się sam znajdował, ale przyprowadzało do rozpacz, gdy był w trakcie rozmowy z klientem.

— Ojczulku, czy posyłałeś zasięgnąć wiadomości?

— Ależ tak, moje dziecię... natychmiast...

— I jeszcze posłaniec nie wrócił?

— Jeszcze nie, nie ma pięciu minut jak pojechał.

A gdy służący wrócił, oznajmiając, że Fryderyk przyjechał zdrow najzupełniej, niecierpliwość

Ludwika stała się gorączkową. Jednakże powściągnęła się, aby poczekać do jutra i powinszować szczęścia swoim przyjaciółom. Trzeba było koniecznie ten pierwszy dzień zostawić rodzinie. Spała źle, a nazajutrz rano wydawałby jej się nieskończenie długim, gdyby go była nie poświęciła długiej i drobiazgowej toalecie

To też gdy około południa przyniesiono list od starej markizy, zapraszający pana Florimont i Ludwikę do pałacu Villepreux, z prośbą o pospiech, Ludwika wykrzyknęła z tryumfem:

— Widzisz ojcze, oczekują nas!

Ale stary notaryusz zmarszczył brwi. Przeczuwał że ten pospiech oznaczał złe nowiny.

Ludwika w ostatniej chwili była niezadowolona ze swej fryzury i chciała zjechać na nowo. Nie była zadowolona ani z drugiej ani trzeciej fryzury, gromiła swą pokojówkę i poprzestała na swej skromnej, którą zwykle nosiła, w końcu jednak mimo starań pokojówki, wyjechała rozburzona, wściekła na te niesforne kosmyki włosów, które tworząc nad czołem jasną aureolę, czyniły ją jeszcze bardziej zachwycającą.

Gdy przybyli na ulicę Saint-Dominique, Henryetta, która ich oczekiwała, zaprowadziła nota-

ryusza do swej babki, poczem wróciła do Ludwiki mówiąc:

— Zdaje się, że idzie o rzeczy poważne... Fryderyk jest na konferencyi u mamy. Mamy dobre pół godziny do rozmowy serdecznej.

Wszedłszy do pokoju markizy i widząc przynębioną twarz biednej babki, Florimont uczuł się na chwilę ogromnie zaambarasowanym. Jego bystry umysł nie zawiódł go. Nowe nieszczęście spadło na ten dom, już i tak doświadczany nieszczęściami.

— Dziękuję ci za pospiech mój przyjacielu — rzekła wdowa wyciągając doń rękę.

Nie nazywała go więcej Florimont, jak zawsze zwykła go nazywać. Florimont był przyjacielem najbardziej oddanym, najwierniejszym, jakiego nie znalazła w całym swem życiu. To też z głębi serca nazywała go „mój przyjacielu“

— A cóż to! — wykrzyknął. — Cóż to za wyraz na twarzy markizy... i w dzień tak szczęśliwy?

— Szczęśliwy?... — wypowiedziała z gorzkim uśmiechem. — Tak, miałam dzień szczęścia, jeśli można nazywać dniem szczęścia taki, po którym następuje noc łez.

— Cóż się znowu stało?

— Uwolnij mię mój przyjacielu od wszelkich

objaśnień. Potrzebuję 60.000 fr.... Potrzebuję ich koniecznie dzisiaj...

Twarcz notaryusza stała się mocno podłużną. Markiza z pewnym trudem wyjąkała:

— Wszak mi nie odmówisz?...

— Ja, odmówić pani, tak skromnej przysługi? Wiesz pani o tem, że wszystko, czego zażadasz, jest już z góry zaakceptowane. Ale nadto jestem pani przyjacielem, by nie żądać wyjaśnień. Nie przez ciekawość, ani przez niewłaściwą niedyskrecję, ale we własnym pani interesie. Spodziewam się, że to nie syn pani postawił panią w podobnej sytuacji?

— Nie idzie o mego syna, Florimont! — wykrzyknęła boleśnie markiza.

— A więc o kogo?

— O mojego wnuka, hrabiego Fryderyka de Villepreux.

— On grał... on także? Boże!

Markiza opuściła głowę, szepcząc:

— Niestety!

— A zatem pani, pojmuję twoją boleść. Bóg panią podwójnie nawiedził.

I nie znalazł ani jednego słowa, ani jednej myśli łitośnej dla młodego człowieka, który miał tylko jedną godzinę słabości, a za którą już tak

strasznie pokutował. Teraz markiza, która wczoraj była tak surową dla swego wnuka, zaczęła bronić go gorąco.

— Ależ mój przyjacielu, nie sądź Fryderyka po tem jedynem szaleństwie...

— Przez niego pani cierpisz! A wszyscy, którzy pani ból zadają, są mi nienawistni...

— Zamilknij Florimont — wykrzyknęła z mocą — idziesz za daleko!... Mój Fryderyk nie zdołał by być nienawistnym dla nikogo... Powiedziałam ci prawdę, bo wiem, żeś mój prawdziwy przyjaciel... Fryderyk jest wytłumaczony, ręczę ci za to! Posłuchaj mnie najprzód; oto szczegóły tego nieszczęścia.

Powtórzyła opowiadanie Fryderyka, kończąc je temi słowy:

— Mój kochany wnuk jest w rozpacz z powodu tej godziny szalu i nie będzie grał nigdy... nigdy! Przysięgam ci to!

— Nie wierzę graczom, pani, dopóki nie złożą dowodów.

— Fryderyk ci je da, mój przyjacielu! Bo wierzę, że go poważasz, jak poważałeś dawniej...

— To było wtedy pani, gdy był portretem swej matki. Nie będę umiał dać mu mej przyjaźni, gdy wstąpi w ślady swego ojca. Nie, nie..

prawdziwie! Nakoniec trzeba pani 60.000 fr., by zaspokoić pana de Brettecourt i pana Jana Renaud. Wnuk pani otrzyma je przed wieczorem...

— Sprzedasz pan część moich papierów?

— Tak, pani, mogę umieścić 250.000 fr., które stanowią cały twój majątek, na warunkach wyjątkowo korzystnych. Zarobi pani prawie 6% na 100. Jeśli zrealizuję zaraz tę sumę 60.000 franków, przyszlę pani więcej niż 3.000 fr. nadwyżki... A położenie pani jest obecnie bardzo skromne!...

— Pozwól mi zawołać Fryderyka, by ci podziękował...

— Pozwól mi pani oddalić się; zaledwie mam czas wstąpić do mego bankiera...

— I nie chcesz widzieć biednego dziecka? — dodała gorzko markiza.

Obtarła szybko łzy. Odgadła właściwą myśl notaryusza. Chciał przedewszystkiem oddalić się, by zabrać córkę. Nie zastanawiając się nad tem nowem spostrzeżeniem, wstała, by odprowadzić Florimont'a. Ale gdy otworzyła drzwi salonu, notaryusz zatrzymał się oniemiały. Fryderyk był tam między Ludwiką i swoją siostrą, a Julja de Villepreux patrzyła z miłością na te troje dzieci.

— Ludwiko — rzekł głosem zdławionym — Ludwiko... moje dziecię!

— Co ojczulku?

— Jestem zmuszony odjechać natychmiast... Chodźmy prędko!...

— Ależ ojcie, mnie nic nie zmusza odjechać... Pan Fryderyk zaledwie zaczął opowiadać mi swoją piękną kampanię, swe piękne bitwy!

Fryderyk powstał i przybliżył się z wielkim szacunkiem ku notaryuszowi. Florimont skłonił mu się nisko, sztywno, nie podając ręki i mówiąc sucho:

— Jestem uradowany, widząc pana w dobrym zdrowiu...

— Zapominasz ojcie powinszować panu Fryderykowi rangi kapitana!

— Winszuję panu — rzekł notaryusz kwaśno i nie śmiać stawiać oporu córce — winszuję panu — powtórzył. — Chodź, chodź moje dziecko...

— Ależ ojcie, trzeba abym dowiedziała się, jak pan Fryderyk osiągnął..

— Ludwiko — przerwała markiza, która jedynie rozumiała tajemnicę tej sceny — jedź ze swoim ojcem... Adieu moje dziecię... adieu!

Ludwika popatrzyła na ojca. Spostrzegła jego wzrok rozdrażniony, jego rysy zmienione. Potem spojrzała na markizę, która również odejść jej kazała... Wstała wolno, opanowana wielkim

smutkiem... Ojciec jej skłonił się zaambarasowany Henryecie i jej matce. Udała się za nim.

Szła bardzo ociężała po monumentalnych schodach pałacu, na które wskakiwała przedtem tak lekko.

Ojciec porwał ją z pewnym rodzajem wściekłości i zaprowadził do powozu prędzej, niż zdołała sama dojść.

— A! papo, co to znaczy?

— Cicho! zaraz zrozumiesz niestosowność twego zachowania się.

— Przepraszam cię papo, wytłumacz mi natychmiast.

— Bądź cicho, mówię ci.

I odmówił odpowiedzi, dopóki nie weszli do jego gabinetu. Tu dopiero Ludwika rzucając się rozdrażniona na fotel, powiedziała z pasją:

— Czy powiesz mi, dlaczego pozbawiasz mię tego dnia radosnego, na który oczekiwałam od tyłu miesięcy?

— Dlatego, że nie podoba mi się, aby moja córka rozmawiała w ten sposób z młodym człowiekiem!

— Przyjaciół z lat dziecinnych!... I pod okiem jego matki i siostry!

— To jeszcze niebezpieczniej. I proszę cię na

przyszłość być powściągliwszą, gdy spotkasz się z tym... Fryderykiem!

— Nigdy nie mówiłeś o nim podobnie źle.. I tego rana jeszcze..

— Tego rana nie wiedziałem jeszcze, do czego ten nieszczęśliwy był zdolny...

— Fryderyk jest zdolny tylko do pięknych czynów mój ojcze!

Nigdy tak gorący spór nie miał miejsca między ojcem i córką. Ojciec zawsze ustępował. Ale dzisiaj odnalazł w sobie energię niebywałą, by walczyć przeciw sympatyi swego dziecka.

— A więc dowiedz się... — wykrzyknął — że cały majątek rodziny de Villepreux był roztrwoniony bezwstydnie przez ojca Fryderyka...

-- Cóż to ma wspólnego z Fryderykiem?

— Dlatego też nigdy nie czyniłem go odpowiedzialnym i wiesz dobrze, że lubiłem go szczerze! Ale Fryderyk, którego położenie wymagało jak najskromniejszego zachowania się, zostawiony sobie samemu, poszedł za przykładem swego ojca... Przegrał pieniądze, których nie miał, co jest rzeczą niegodną... 60,000 franków!...

— Czy tylko o to się rozchodzi? — odrzekła wesoło Ludwika, którą oburzenie ojca zaczynało już niecierpliwić.

— Gdyby chodziło o jaką skromną sumę, wydaną dla fantazyi, dla zabawy młodego człowieka, przebaczyłbym mu chętnie. Skarcił bym go jak stary przyjaciel i byłoby po wszystkim! Ale grać o to, czego się nie ma!... to nieuczciwie moja córko, to smutno wróży o przyszłości tego nieszczęśliwego! Jego ojciec rzucił się na kombinacje podejrzone, które mogą go shańbić... Shańbić, czy słyszysz?

Poczem rzekł już trochę łagodniej:

— Patrzyłem na to wszystko z rozpaczą, ale mówiłem sobie, że syn wynagrodzi swoją szlachetnością, swą odwagą, swem prowadzeniem się bez skazy, to, co zrobił ojciec... A teraz przekonuję się, że syn nie wart więcej od ojca! Ludwiko, przebac mi moją surowość! Wierz mi, że tylko moja miłość dla ciebie dodaje mi sił, aby mówić z tobą tak szczerze!... Widzę, że obraz Fryderyka wrył się głęboko w twoją duszę... Byłem gotów pozwolić na to. Powiniennem był przewidzieć, że nie nosi się bezkarnie w żyłach krwi Honoryusza de Villepreux!... Kochane moje biedne dziecko!... zaklinam cię, zapomnij o nim!

— Ja, zapomnieć o nim?...

Ludwika wymówiła te słowa z takim akcentem, że ojciec jej był zdziwiony.

— Jesteś niesprawiedliwy dla Fryderyka, oj-
cze! Wstręt do gry zaślepia cię. I to ja, prawie
jeszcze dziecko, muszę zachować sprawiedliwy
sąd o rzeczy, gdyż ty nie panujesz nad oburze-
niem. Znam nadto dobrze okropne skutki pro-
wadzenia się markiza de Villepreux... wszystko
tam jasno widziałam. Wyglądam na dziewczynę
lekkomyślną, ale dobrze zrozumiałam wszystko,
co zaszło w domu moich przyjaciół... Także za-
pewniam cię, że jest najwyższą niesprawiedliwo-
ścią porównywać markiza de Villepreux, tego zle-
go człowieka i bezużytecznego, który tylko samo
złe czynił... do jego syna, tak szlachetnego, tak
dobrego i honorowego! Skazujesz go za jedną go-
dzinę zapomnienia, za jeden postęp lekko-
myślny prawdopodobnie, ale który się już nigdy nie po-
wtórzy! Ja ci ręczę za człowieka, którego życie
upływało aż dotąd między obowiązkiem a ho-
norem... Wszak młody człowiek nosi z taką go-
dnością swoje imię tak już sławne!... ten czło-
wiek z taką brawurą ubiegał się w okrutnej bi-
twie o prawo pójścia pierwszym na śmierć! O! to
niesprawiedliwie, mój ojcze!... I nie żądam ode
mnie, abym go zapomniała... Lepiej, umrzeć!

X.

Pomieszkanie kawalerskie.

Pośród prześlicznych gmachów, które dziel-
nicę Monceau czynią podobną do starożytnego
miasta, nie ma wdzięczniejszego, bardziej arty-
stycznego, jak ten który znajduje się na rogu ulicy
Fortuny i Avenne de Villiers. Odróżnia się od
wszystkich otaczających go gmachów przez swą
prostotę, czystość linii, przez subtelność archi-
tektoniczną, co wszystko czyni zeń prawdziwy
klejnot. Został on wybudowany przez młodego, zdol-
nego architekta, który nie sadząc się na nowość
— ponieważ nasz wiek nie jest zdolny mieć swój
odrębny styl — zadowolnił się skopiowaniem naj-
cudowniejszego domu, zbudowanego w Orleanie
przy ulicy des Albanais, a znanego pod nazwą
„pałacu Diany de Poitiers“ gdy prawdziwą jego
nazwą jest: „pałac Cabut“.

Do tego domu Marya Renaud zaprowadziła
swego syna po powrocie z Marsylii.

Widząc swego syna pięknym, w dobrem
zdrowiu na pokładzie Sanghalien'a, biedna matka
upadła zemdlona. Od miesiąca żyła w najokrop-

niejszych widziadłach, wyobrażając sobie, że Jan powróci beznadziejnie chory i wycieńczony. Ale wrażenia wywołane szczęściem nie czynią nigdy nic złego. Wkrótce przyszła do siebie, mogąc podbiegnąć aż do miejsca, gdzie wyladowują okręty i nakoniec doznała najwyższej radości, przyciskając syna do swego serca. Jan przedstawił jej swych dwóch przyjaciół. Nie podziękowała im ani jednym słowem, rzuciła im tylko wzrok pełen wdzięczności. Brettecourt i Villepreux oddalili się dyskretnie, zostawiając matkę i syna ich szczęściu. Pułkownik i kapitan odjechali tegoż wieczora do Paryża. Jan miał także wielką ochotę odjechać najprędzej, odczuwał szaloną chęć uściskania swej babki, ale Marya czuła potrzebę odpoczynku. I nie opuścili Marsylii aż nazajutrz rano.

Żadne wyrazy nie zdołają opisać radości starszej pani Renaud, gdy zobaczyła wysiadającego z pociągu swego wnuka, tak pięknego, tak pełnego życia. Mogła tylko wypowiedzieć:

— Mój mały!... Mój mały!...

I w eleganckim ekwipażu, który ich wioził przez środek Paryża, wszyscy troje płakali pod wrażeniem słodkiego wzruszenia. Gdy powóz przebiegał bulwary, Jan, który patrzył dotąd na

matkę i babkę, spostrzegł naraz piękny czarny jedwab obicia karety i spytał:

— Zmieniłaś jak widzę obicie powozu?

— Nie — odrzekła Marya z uśmiechem — mam zawsze mój stary powóz, ale to nie dość dla ciebie... Nie zauważyłeś więc, że ten zrobiony według ostatniej mody?

— Nie widzę nic, prócz ciebie!

— To twój ekwipaż, dla ciebie mój najdroższy!

— Matka twoja zawsze popełnia szaleństwa dla ciebie — wtrąciła babcia Renaud.

— Oh! matko — rzekła Marya z wymówką — wszak wybierałaś go wraz ze mną i nie nie mogłaś znaleźć dość pięknego.

— Rzeczywiście, nie nie ma dość pięknego dla mego Jana!.. Jak ci się podobają te konie? To mój podarunek dla ciebie.

— Konie! — wykrzyknął Jan. — Gdzież miałem głowę, żem nie nie zauważył? — I zwracając się do woźnicy, zawołał:

— Prześliczne stworzenia!

— Odkupiłam je od pewnego księcia — oznajmiła babka z tryumfem.

Rumaki biegły jak huragan, przebiegły wnet bulwar Poissonière i ulicę du Sentier. Jan chciał wychylić się ku portyerowi.

— Ależ mamó, woźnica się myli. Przybyliśmy już na miejsce...

— Nie moje dziecię.

— Nie mieszkasz już na ulicy du Sentier?

— My tak, ale nie ty! Młody człowiek taki jak ty, sierżant... potrzebuje niezależności i przygotowałyśmy dla ciebie małe mieszkanko...

— Mieszkanie? dla mnie samego?

— Zachowałam sobie pokoik, ale nie zostanę nigdy bez twego zezwolenia.

— A ja? — wykrzyknęła babcia Renaud.

— Ty także babuniu!

— A zatem — mówiła staruszka — zostaniesz zupełnie sam urwiszu! Czy taki piękny hultaj jak ty, może się zajmować staremi kobietami?

— Ależ to chyba nie zbyt daleko od waszego mieszkania?

— Nie jest się nigdy zbyt oddalonym, mając dobre konie — powiedziała delikatnie matka.

Wkrótce przybyli przed pałacyk, który matce jego podobało się nazwać „małym mieszkankiem“. Najpierw zobaczyli grooma, ubranego w wykwin-tną liberyę, otwierającego bramę domu. Jan onie-miał:

— To dla mnie? dla mnie to wszystko?

— Wszystko było gotowe, gdy zapowiedziałeś

nam swoje wstąpienie do armii...

— Oh, matko przebacz!

— Moje dziecko ukochane! Jesteś tu, cóż więc mamy ci przebaczać?

— Ja nie przebaczę mu, chyba, że nie odjedzie więcej — wtrąciła babcia Renaud.

Jan zaledwie tu i owdzie zdołał się rozglądnać po domu, a już był oszołomiony.

— Ależ ty zrujnowałaś się dla mnie, mamó!

Ona uśmiechała się uszczęśliwiona.

Gdy ukończyli zwiedzanie pierwszego piętra, zeszli do sali jadalnej, gdzie wysmienity czekał ich obiad. Ponieważ Jan wyraził się z uznaniem o matki kuchni:

— Tem lepiej — rzekła — gdy obiad twego kucharza smakuje ci!

— Mego kucharza?

— Tak, to twój kucharz gotował ten obiad. Ucieszy on się z tego. Przytem sądziłyśmy, że będzie cię żenować udawać się do kasy mamy po pieniądze na swoje wydatki. Znajdziesz zeznanie na 50,000 fr. rocznej renty w twym sekretarzyku...

— Oh mamó, tego zawiele!

— To cię nauczy prowadzić dom. Dzielę się

z tobą wszystkiem co posiadam, a mam nadzieję dać ci jeszcze więcej.

Nazajutrz gdy Jan Renaud przebudził się, usłyszał rżenie konia na małym dziedzińcu swego pałacyku. Spojrzał i spostrzegł obok łóżka bardzo elegancki kostyum do konnej jazdy. Matka była już w jego pokoju.

— Krawiec twój przyniósł ci kostyum do konnej jazdy. Miał twoją miarę i przekonał się tej nocy na twoim uniformie, że nic się nie zmieniła.

— Mamo, mam, jak mnie psujesz...

— Nie mam innej przyjemności nad twoje zadowolenie.

Ubrał się szybko, przycisnął matkę serdecznie do serca, poczem pobiegł do okna.

— Oh! jakież piękne, szlachetne stworzenie! — zawołał.

Jego groom trzymał za uzdę wspaniałego rumaka czystej krwi.

— Spróbujesz go — rzekła matka. — Sądzę, że będziesz z niego zadowolony. Obawiałam się tylko by nie był kapryśnym. Przejeźdź się po lasku. Będzie ci brakować tylko spacerów nad jeziorem Hanoi.

— A ty mameczko?

— Ja udam się na chwilę do domu. Babcia już odjechała. Zapraszamy cię na śniadanie do nas i zapraszamy się z kolei na wieczór do ciebie.

— Czy pozwolisz mi zaprosić mego pułkownika?

— Właśnie chciałam ci to zaproponować.

Za nadejściem wieczoru Jan wesół i szczęśliwy, skacząc jak dziecko, oczekiwał z matką i babką pułkownika de Brettecourt. A oglądając meble swego salonu, na co dotychczas nie miał czasu, opowiadał dwom kobietom jak spędził dzień i opisywał swoją radość mogąc przebiegać aleje Ponteaux, widzieć Francuzów, którzy podziwiali jego pięknego konia...

W południe poszedł zameldować się w mundurze. Szef biura winszował mu.

— A ja czerwieniłem się jak żak — mówił do matki. Potem złożył kartę wizytową Fryderykowi de Villepreux, ale nie chciał wejść do pałacu. Następnie musiał pójść do pułkownika, który część dnia spędził w ministeryum wojny.

— I dziś mam, przyjdzie! Przyjął moje zaproszenie pierwsze, jakie przyjmuje od wielu, wielu lat...

Gdy domawiał tych słów drzwi salonu otworzyły się, a lokaj zaanonsował:

— Pułkownik de Brettecourt!

Z uczuciem serdeczności Jan rzucił się ku niemu i był bardzo mile zdziwiony, widząc go promieniejącym, wesołym i ubranym z elegancją wyszukaną.

Pułkownik o 10 lat wyglądał młodziej niż wtedy, gdy go Jan poznał na pokładzie Sanghaliën'a. Marya Renaud podeszła do niego z wyciągniętymi rękami.

— Panie — rzekła ze łzami w głosie — serce moje od wielu lat należało wyłącznie do mojej matki i mojego syna... teraz pan zająłeś miejsce obok nich.

— Pani — odpowiedział pułkownik — ja, który nie miałem już przyjaciół, pokochałem syna pani od dnia, w którym go ujrzałem, a nie można kochać dziecka takiego, jak syn pani, bez głębokiego szacunku dla rodziny.

Poczem de Brettecourt skłonił się starszej pani Renaud z taką gracyą, że ostatnie uprzedzenia, jakie miała do niego, ustąpiły natychmiast... Dotychczas miała uprzedzenie do pułkownika, za przyjęcie jej wnuka do wojska.

Gdy oznajmiono obiad, pułkownik ofiarując ramię Maryi, rzekł do babci Renaud:

— Pani racz przyjąć ramię porucznika!...

— Co?... — odrzekła pani Renaud, drgnawszy gorączkowo i niepewna, czy dobrze słyszała.

— Pułkownik żartuje — rzekł Jan.

— Bynajmniej — odrzekł Brettecourt, siadając przy stole — miałem dzisiaj długą konferencyę z ministrem. Chcę mianować mnie generałem i bynajmniej, mnie to nie zdziwi, jeśli jutro moja nominacya ukaże się w dzienniku „Officiel“. Potrzebować będę oficera ordynansu. Sądzę, że i pańska nominacya się pojawi, gdy przedłożysz ministrowi wszystkie konieczne dokumenty... akt urodzenia...

Marya Renaud zbladła.

— Co ci jest mateczko?

— Nic, moje dziecię...

Otrząsnęła się dość prędko z wrażenia, jakie ją nagle opanowało. Wreszcie chwila tak odkładana przez nią, nieodwołalnie nadeszła. Za kilka dni syn jej musi poznać tajemnicę swego urodzenia.

— Przebacz mi pan, panie pułkowniku, ale jestem trochę osłabiona... To pojawia się zawsze u mnie, gdy myślę o karierze mego syna...

— Mogę wstrzymać moje starania, albo lepiej zmienić ich cel. Jan nadto walecznym się okazał, żeby nie miano mu udzielić nieograniczonego urlopu i będzie mógł na nowo rozpocząć życie cy-

wilne, jeśli tylko pani sobie tego życzy...

— Oh! nie panie! Zaklinam pana! wybacz mej chwilowej słabości. Jan wybrał sobie dobrowolnie swój zawód... Niechże mu się poświęca do końca.

Po tej rozmowie, której znaczenie rozumiała jedynie babcia Renaud, obiad był urozmaicony opowiadaniem o ekspedycyi do Tonkinu i o zuchwałych czynach Jana. Ludzie ci, pokrewni sobie duchem, odrazu zostali pociągnięci ku sobie bezwiedną sympatją! Pułkownik polubił już obie kobiety, jakby je znał oddawna, one zaś wyobrażały sobie, że widzą swego starego przyjaciela.

Wśród tej rozmowy zaanonsowano Fryderyka de Villepreux.

— Mateczko moja — wykrzyknął Jan — to mój drogi przyjaciel, mój brat z armii! Proszę cię o zachowanie dla niego również pierwszego miejsca w twem sercu.

— Już je posiada — oznajmiła Marya, ściskając rękę hrabiego de Villepreux.

Fryderyk potrzebował takiego serdecznego przyjęcia. Twarz jego zasmucona rozjaśniła się uśmiechem szczęścia.

— Syn mój winien panu życie!... — dodała Marya.

— To właśnie Jan ma monopol do ocalania życia całemu światu.

— Minister wkrótce obdarzy go nowym awansem — rzekł Brettecourt.

— Ah! przyjm moje powinszowanie i pozwól abym cię uścisnął. — I przycisnął Jana do piersi z całym zapalem swej młodości.

Po dłuższej rozmowie Marya chciała zostać trzem mężczyznom swobodę. Wkrótce więc znalazła pretekst odjechania do siebie wraz z babką.

— Pani nas porzucasz? — zapytał Brettecourt ze szczerym odcieniem wyrzutu. — To zmusza nas do wyjścia..

— Jestem tu tylko gościem — odpowiedziała wesoło Marya. — Syn mój będzie pełnił honory domu w swem kawalerskiem mieszkaniu.

Gdy trzech ludzi zostali sami, Fryderyk nie mógł powstrzymać się od wyrażenia swego zdziwienia.

— Jakto, ten pałacyk należy do ciebie, Janie?

— Ach, jaki panicz z mego sierżanta! — zauważył z uśmiechem Brettecourt.

— Widzicie mię panowie również zdumionym! I pomyśleć, że ten apartament oczekiwał na mnie przed mojem wstąpieniem do armii!

— Czy żałujesz tego? — zapytał Brettecourt.

— Ah, bynajmniej pułkownika. Cóż za przypuszczenie! — I wyciągnął dłonie do obu przyjaciół.

— Matka nie ma nikogo prócz mnie... kogo mogłaby pieścić. Oh! jakże się czuję szczęśliwym moi przyjaciele. Jakżem szczęśliwy!

— Tak, ty jesteś szczęśliwy i twoje szczęście cieszy mię, gdyż nikt bardziej niż ty, na nie nie zasługuje!

— Ty Fryderyku nie możesz mu chyba niczego zazdrościć — zapytał Brettecourt.

— Przeciwnie, zazdroszczę mu jednego: opinii bez skazy... Podczas gdy moja została splamiona... a strasznych skutków tego dotąd doznaję...

Mówiąc to Fryderyk wyjął swój pularęs i otworzył go.

— Pozwólcie mi panowie uregulować dług, jaki zaciągnąłem względem was.

— Dlaczegoż ten pośpiech? — spytał ostro pułkownik.

— Hrabio, jestem posłuszny mej babce.

Brettecourt spuścił głowę.

— Moja babka nakazała mi tylko to, co zresztą sam byłbym uczynił, by wyznać całą prawdę Janowi... Przegrałem na słowo sumę, której nie posiadałem.. zostałem wciągnięty mój przyjacielu.

— Nie bierz znowu zbyt tragicznie całej tej

sprawy — rzekł pułkownik jowialnie. — Rodzina twa przecenia znaczenie zwykłych młodzieńczych wybryków.

— O nie — odrzekł stanowczo Fryderyk — zawiniłem okropnie! Są młodzi ludzie, dla których samo dotknięcie się kart jest hańbą. Wiesz dobrze mój pułkowniku, że ja do nich należę.

Następnie wręczył 30.000 fr. Janowi, który wykrzyknął:

— Oto oszczędności, które zdumieją wielce moją babkę, a które są zawsze do twej dyspozycji, Fryderyku. Będę się czuł zawsze nader szczęśliwym, mogąc ci dowieść, że u mnie przyjaźń nie zasadza się na słowach.

Fryderyk wręczył następnie takąż sumę pułkownikowi.

— Ależ ty mi nie jesteś dłużnym! To sprawa między mną a Chińczykami..

— Mam nadzieję, że pan nie będziesz ich szukał — odrzekł Fryderyk ze smutnym uśmiechem. — Przyjm to, proszę cię! Wyrządzisz mi pan prawdziwą przykrość, odmawiając... wiesz o tem. To raczej babka moja, która...

— Nie chce nic przyjąć odemnie? — zauważył gorzko Brettecourt.

— Sądzisz ją niesprawiedliwie hrabio.. — po-

czem dorzucił cicho: — Wychodząc wytłumaczę panu obszerniej.

— Domyślam się reszty...

— A teraz mój drogi, mój prawdziwy przyjacielu — rzekł Fryderyk, usiłując odzyskać ton swobodny — czy zechcesz mi powiedzieć, kiedy będziemy mieli zaszczyt widzieć cię u nas? Moja babka z gorączkową niecierpliwością oczekuje twej wizyty.

Jan zarumienił się sam naturalnie nie wiedząc dla czego i odpowiedział trochę drżącym głosem:

— Będę miał zaszczyt przedstawić się jutro!...

XI.

Henryetta de Villepreux.

Gdy Jan Renaud przybył nazajutrz do pałacu Villepreux, doznał prawdziwie smutnego uczucia na widok wszystkich widomych znaków upadku tego pięknego domu. Zaraz zauważył stan zaniedbania dziedzińca pałacowego, opuszczenie bramy wjazdowej, nad którą wyrastała trawa, smutek tych wielkich okien parterowych, szczeł-

nie pozamykanych. I zrozumiał teraz znaczenie słów wczorajszych Fryderyka, iż jest jednym z tych, którzy nie mają prawa dotykać się kart.

— Biedny przyjaciel! — pomyślał. — Musiano obejść się z nim surowo po powrocie...

Jeden powód więcej, by go kochać jeszcze bardziej.

Z największą niecierpliwością oczekiwały panie de Villepreux wizyty przyjaciela Fryderyka, ale niecierpliwość ta, a raczej niecierpliwość dwóch markiz, ustąpiła miejsca dziwnej boleści na widok pięknego młodego człowieka, którego rysy, oczy, uśmiech, chód, aż do sposobu kłaniania się, przypominały tak łudząco Jana de Villepreux.

— Mój przyjaciel Jan Renaud — oznajmił poważnie Fryderyk. A gdy ani jego babka, ni matka nie postąpiły ku niemu, tak wielkie było ich zdziwienie, dodał: — Mój zbawca, babciu.. mój brat z armii!...

Jedyna Henryetta podeszła ku niemu. Przywitała się z nim jak gdyby go już знаła i z pewnem wzruszeniem ścisnęła mu rękę. W tejże chwili doznała jakiegoś wstrząśnienia; wszystka krew spłynęła jej do serca, zbladła i nieznany

jej dotąd dreszcz przebiegł ją całą. Tak dawno marzyła o tym młodym człowieku!

W pojęciu jej, przyjaciel jej brata przyjął postać bohatera i ujrzała go piękniejszym i szlachetniejszym, niż sobie wyobrażała. Co zaś do Jana, ten był olśniony. Nigdy nie odczuł podobnego wrażenia; nie widział nikogo, ani dwóch dam, ani Fryderyka, widział tylko tę zachwycającą dziewczynę, której piękność czarowna i wdzięczna, przypominała mu jego matkę. Podziwiał jej twarz tak regularną o cerze matowej, która się jednak natychmiast po pierwszym zblednięciu zaróżowiła; jej czarne oczy, głębokie, ocienione jedwabnemi, długimi rzęsami; jej nosek o delikatnych konturach, jej małe usteczka tak pięknie zakrojone; jej wyniosłe, rozumne czoło; jej ciemno złote wijące się włosy, ułożone w stylu XVIII. wieku, jej smukłą lecz silną postawę. Jakże czar dziwny wiał od niej.

— Pani — wyjąkał onieśmielony. — Będę na wieki wdzięczny Fryderykowi za zaszczyt, jakiego dostąpiłem będąc przedstawionym pani!..

Fryderyk był zachwycony wrażeniem, jakie młoda para wywarła wzajemnie na siebie i zwrócił wzrok pełen wdzięczności na babkę, gdy ta opamiętawszy swoją trwogę, odezwała się:

— Panie, wiemy, że przyjmując pana, otwieramy dom nasz prawdziwemu przyjacielowi...

— Staremu przyjacielowi — dodała Julia — bo znamy pana oddawna z listów Fryderyka.

— Ja panie znam także dobrze! Mówiliśmy tak często z Fryderykiem o paniach!

— I o pańskiej matce! — dodała wdowa.

— Tak pani, o mojej matce tylko niestety i o mojej babce, gdyż straciłem ojca, gdy byłem jeszcze dzieckiem.

Usiedli i konwersacya nawiązała się natychmiast naturalnie na temat wyprawy do Tonkinu.

— Waleczni i skromni! — wykrzyknęła zachwycona wdowa — jesteście godni dawnych szlachciców.

Henryetta patrzyła ciągle na Jana, a na jej twarzy malowały się wszystkie wrażenia, jakie to opowiadanie na nią wywierało, choć już te szczegóły znała z poprzedniego opowiadania swego brata,

Fryderyk powtarzał po raz drugi swój piękny czyn w bitwie pod Hoa-Moc, ich szturm, przypuszczony do ostatniego fortu chińskiego.

— To właśnie tam — wtrącił Jan z pewnym dąsem — to tam, gdzie pan Fryderyk de Villepreux zabronił mi prawa wejścia pierwszemu...

— I to właśnie tam, gdzie Jan ocalił mię od niechybnej śmierci.

— To bardzo proste — zauważył Jan — na wojnie tak jest codzień!...

Wdowa podniosła się szybko i nerwowo i przeszła na chwilę do swego pokoju; poczem wróciła tak samo zdenerwowana jak podczas przybycia Jana Renaud. Chodziła przypatrzeć się portretowi swego syna. Podobieństwo było tak uderzające, że mogła przypuszczać, że ten Jan Renaud był synem Jana de Villepreux, gdyby on sam nie był jej mówił o swoim ojcu, i gdyby nie mówiła sobie, że ten elegancki i bogaty przyjaciel Fryderyka, ten młody człowiek tak arystokratycznie wychowany, nie mógł być dzieckiem biednej robotnicy, kochanej niegdyś przez markiza de Villepreux...

Chciała się dowiedzieć w jaki sposób Jan zaznajomił się z pułkownikiem de Brettecourt i powróciwszy do salonu zapytała:

— Czy pan de Brettecourt to dawny pański przyjaciel?

Jan opowiedział wskutek jakiego przypadku spotkał pułkownika na okręcie Sanghalien, jego pierwotną hipochondryą, potem sympatyę, która tak prędko zamieniła się w przyjaźń.

— To jest wistocie dziwnem — odezwała się Henryetta — gdyż jak od Fryderyka słyszeliśmy, pułkownik unika nieznajomych.

— Był powód tej szczególnej sympatii. Pan de Brettecourt stracił w swej młodości przyjaciela, którego kochał bardzo. Moje rysy przypominały mu twarz tego przyjaciela... Ale teraz — dodał z czarującym i dumnym uśmiechem — kocha mnie dla mnie samego.

— A... pan de Brettecourt... nigdy panu nie mówił... coś więcej... więcej o tym przyjacielu? — zapytała wdowa cała drżąca?

— Nie pani, to wszystko co wiem a propo tej historyi. Ale... ale... co pani jest?

Wdowa podniosła się z oczami rozszerzonymi jakby odurzona. Julia i jej córka zaraz ją otoczyły. Uspokoila je jednak zaraz...

— Nie obawiajcie się, jestem silna!...

I próbując uśmiechnąć się do Jana mówiła:

— Przepraszam pana... nagłe osłabienie... Wszak pan mię jeszcze odwiedzi... O tak, przychodź pan do mnie, proszę pana! a przyrzekam panu lepsze przyjęcie na drugi raz... Fryderyku odprowadź pana Jana Renaud!...

Jan zdziwiony, skłonił się obu damom z szacunkiem

cunkiem, z spojrzeniem przyjaźnem Henryecie i opuścił salon z Fryderykiem.

Gdy zeszli na dół, spotkali się z markizem. Fryderyk przedstawił mu Jana w najgorętszych słowach, zwracając na ojca błagalne wejrzenie.

Markiz spojrział zimno na przyjaciela swego syna nie podając mu nawet ręki, następnie odezwał się tonem zupełnie pogardliwym:

— Aha, to pan jesteś... sierżantem Renaud?... Winszuję ci mój chłopcze... Podobno dobrze się biłeś... Powinni ci to wynagrodzić i jeśli tylko mój wpływ w ministerjum wojny może ci być użytecznym aby otrzymać medal wojskowy, licząc na mnie, że będę ci pomocnym.

To powiedziawszy oddalił się w stronę pokoju matki. Jan podniósł głowę; słowa oburzenia zawisły mu na ustach. Ale spojrział na zrozpaczoną postać swego przyjaciela i domyślił jakiegoś nieporozumienia rodzinnego, jakiejs komplikacji... być może i nienawiści, której on padł ofiarą, więc rzekł prosto:

— Widzę, że nie miałam szczęścia podobać się twej babce!...

— Przeciwnie Janie!

— A więc popełniłem jakąś niezręczność?

— Powinienem był cię uprzedzić — jakaś się

Fryderyk — to z mojej winy... Dziś wieczór będę u ciebie i wyjaśnię wszystko... Licz na moją przyjaźń bardziej niż kiedykolwiek!...

Podeczas gdy Jan Renaud oddalał się, chmurny, obrażony pogardą markiza, Fryderyk wchodził ociężałe na schody pałacu, zgnębiony wrażeniem, jakie na babkę wywarło nazwisko pułkownika i upokorzony impertynencyą, wyrządzoną przez ojca jego przyjacielowi.

Gdy w salonie dostrzegł tylko płaczącą siostrę, przycisnął ją do serca.

— Jakto, nie jesteś przy babce?

— Nie... ojciec nadszedł zaraz, właśnie gdy przeprowadzałyśmy z mamą babcię do jej pokoju... Odesłał mnie szorstko, jakby cię obawiał, abym nie usłyszała tego, co babcia szeptała niespokojna..

— Czy zrozumiałaś jakie wyrazy?...

— To tylko: „Mój Boże! Mój Boże, gdyby on nie został zabity!..“ Powtarzała to kilka razy: „Gdyby on nie został zabity!..“

— Myślała o tym nieszczęśliwym de Brettecourt.

— I o naszym wuju Janie... a potem jedna okoliczność sprawiła mi wielką boleść... Oddalając mnie, ojciec odezwał się w te słowa: „Jestem pe-

wny, że ten człowiek nie pokaże się więcej tutaj...”

I młoda dziewczyna ukryła twarz swą, załaną łzami, na piersiach brata.

Zamilkli i przybliżyli się do drzwi pokoju babki, z kąd doleciały ich słowa:

— Jak ciężko doświadczasz mię, mój Boże! — potem łkania i tylko łkania...

Potem głos suchy Honoryusza:

— Przewidywałem to wszystko... Będę mówił z Fryderykiem; podobne wzruszenia już się nie powtórzą... Proszę mu nic nie mówić! Biorę na siebie objaśnienia, jakie uznam za najpotrzebniejsze...

Fryderyk i Henryetta odsunęli się. Prawie w tejże chwili ukazał się Honoryusz i odezwał się bardzo żywo do córki:

— Prosiłem cię, abyś udała się do swego pokoju!

— Przebaczyć ojciec... byłem tak niespokojny o babcię...

— Obecnie jest już lepiej, ale trzeba aby pozostała teraz sama z twoją matką. Z tobą zaś mój synu chciałbym pomówić poważnie.

Fryderyk był przygotowany na ostre wy-mówki, dlatego zdziwił się bardzo, gdy ojciec

usiadłszy naprzeciw niego w swoim gabinecie, odezwał się przyjaźnie:

— Zapal cygaro, mój drogi, te cygara są dobre... i pozbadź się przedewszystkiem tej miny zaambarasowanej. Zrobiłeś głupstwo, ale pociesz się, twoja babka płacze, a gdy kobieta płacze, wszystko jest uratowane... Mimo wszystko nie jesteś za nie odpowiedzialny. Nie mogłeś przecież odgadnąć, że twój przyjaciel sierżant posiada pewne cechy podobieństwa do twego wuja Jana...

— To prawda, nie myślałem o tem, albo raczej nie przypominam sobie dokładnie portretu mego wuja... Boże mój! jakież to dla mnie bolesne!

— Pociesz się, mówię ci, kryzys była zbawienna i ochroni nas w każdym razie. Przekonasz się teraz, jak moje rady były rozumne. Jeżeli widok przyjaciela pułkownika de Brettecourt wywarł tak silne wstrząśnienie na twojej babce, możesz z tego wnosić, jakie wrażenie uczyniłaby na niej obecność jego samego!

— Tak ojciec, przyrzekam ci strzedz się tego, ale.. czy pozwolisz mi zadać sobie jedno pytanie?

— Mów...

— Moja babka wymówiła parę wyrazów tak donośnym głosem, że mogłem je usłyszeć: „on

byłby takim dzisiaj!..." Kogo babka mogła mieć na myśli?

Honoryusz uśmiechnął się zagadkowo, ale jak na wszystko, tak i na to miał gotową odpowiedź:

— Eh! mój drogi, babka twoja myślała o dziecku, jakie mógł mieć twój brat, gdyby się był ożenił. Nie chcę ukrywać przed tobą dłużej, że moja matka miała szczególną słabość do twego wuja... Ja nie wiele w domu znaczyłem i gdyby szpada pułkownika zamiast mego brata dosięgła była mnie, należy przypuszczać, że babka twoja daleko łatwiej byłaby się pocieszyła...

— O, co mówisz ojcze, babka jest tak dobrą...

— O tak, ona jest dobrą ale każdy ma swoje słabości. Nie możesz sobie wyobrazić, mój drogi, jaki cios spadł na nią ze śmiercią mego brata i bezustannie powtarza sobie, że gdyby Jan żył, Jan byłby się ożenił, Jan byłby miał dzieci... A ponieważ twój przyjaciel ten sierżant...

— Wkrótce porucznik mój ojcze?

— Ah! porucznik? — rzekł Honoryusz dobrodusznie — jestem zachwycony; to dość przyzwoity chłopiec, ma wcale niezgorsze maniere... I w końcu on także nie jest odpowiedzialny za to podobieństwo do mego brata... Ale widziałeś

sam skutki tego podobieństwa... I sędzę, że nie potrzebuję zbytnio objaśniać cię, jak się masz w tej sprawie zachować. Widuj się z nim po naszym domem, ale nie pokazuj że go już twej babce. Taką jak ona staruszkę najmniejsze wzruszenie zabić może.

Fryderyk skłonił głowę; chciałby zaprzeczyć temu, czego żądał jego ojciec, ale przysła mu na myśl zapłakana twarzyczka siostry...

— Ale to wszystko są rzeczy sentymentalne, a my mamy pomówić o rzeczach poważnych...

Porzucił ton łagodny, w jakim dotychczas prowadził rozmowę i odezwał się już dobitniej:

— Nie miałeś zaufania do twego ojca, mój synu.

Fryderyk zadrżał.

— O, nie obarczam cię wyrzutami! Nie jestem jednym z tych groźnych ojców, którzy lubią straszyć swoje dzieci. Babka twoja jest osobą starej daty... Ja jestem nawskróś postępowy. Jednakże nie znoszę, by obrażano mego syna. Dbam o godność hrabiego de Villepreux tak samo, jak o moją własną, a godność tę, ty mój synu pozwoliłeś naruszyć.

— Ale mój ojcze, skąd wiesz?

— Wiem zawsze wszystko. Jedno słowo, jeden

gest wystarczy mi do odgadnięcia wielu rzeczy... Łzy twojej matki, twojej babki, nagłe oddalenie się wczoraj tego notaryusza, twoje przygnębienie... słowem, mój synu, popełniłeś głupstwo i grałeś... tam?

— Tak, mój ojcze.

— Zasłużyłeś by ci natarto uszu, ale znowu nie tak bardzo! W Hanoi zupełnie brak sposobności do zabawy. Twoje zapomnienie usprawiedliwione, jakkolwiek posunąłeś się za daleko, bo jednak 60,000 fr... Znam nawet cyfrę, ponieważ przyłapałem tego notaryusza w chwili, gdy wyliczał twojej babce pieniądze... Ah, jak śmiesznie przewracał swemi małemi oczami ten pocziwy burżoa!... Ale nie chcę dłużej o nim myśleć — parweniusz! I proszę cię, gdybyś się znalazł kiedy na przyszłość w podobnym kłopotcie, abyś zawsze udawał się do mnie.

— Mój ojcze — wyszeptał Fryderyk głęboko upokorzony — przebacz mi ten brak zaufania!

— Bylbym natychmiast załatwił to głupstwo — rzekł wyniośle markiz.

I otwierając szufladkę swego biurka, wyjął z niej zwój biletów bankowych.

— Czy jest tam 60,000 fr.

— Tak mój ojcze... ale ja mam już...

— Racz mnie wysłuchać... nie jestem bogaty, gdyż mój majątek pochłonęły nieszczęśliwe spekulacye, padłem ofiarą oszustów, ale pracuję, aby wszystko odzyskać i znajdę zawsze dość pieniędzy, aby uratować honor mego syna. Weź!

— Ależ — ojcze... Ci panowie są już zaspokojeni...

— Nie idzie o nich, ale o notaryusza. Ci panowie znaleźli się jak gentlemani i proszę cię abyś im podziękował odemnie. Co się tyczy tego łotra notaryusza, który śmiał cię lekko traktować... naucz go, jak się powinien zachować.

— Mój ojcze, zaniosę mu jutro te pieniądze. Co mam mu powiedzieć, czy podziękować za jego usługę?

— Powiedz mu tylko mój synu, że nie wiedziałem o twojej przygodzie, a gdyby nie to, nie byłbyś potrzebował udawać się do jego kasy. Nakoniec Fryderyku, obejdz się z nim, jak de Villepreux powinien obejść się z takim Arystydem Florimont! Czy nie zdajesz sobie sprawy z zachowania się jego wczoraj, a nawet z chęci obrażenia i upokorzenia ciebie?

Fryderyk zbłądł.

— Bezwątpienia — odrzekł zmieszany, — ale uważałem go jako starego przyjaciela... należą-

cego prawie do naszej rodziny... Jego córka jest jedyną przyjaciółką mej siostry...

— Sądzę, że nie wyznasz mi przecie, iż jesteś zakochany w tej małej Ludwiczce?

— Nie, nie — odrzekł Fryderyk coraz bardziej zakłopotany — ale znam ją od dziecka! A potem czyż nie jest chrześną córką mej babki?

— Słowem, hrabio, grzecznie czy niegrzecznie, idź i załatw z tym hultajem sprawę pieniężną, którą on załatwił za cenę twego upokorzenia! Jak chcesz przyjm upokorzenie jakie ci wyrządził, ale dług ureguluj i to spiesznie. Nie miło by mi było wiedzieć, że masz jakieś zobowiązania wobec pana Florimont!

— Bądź spokojny ojcie, będę umiał z godnością dać poznać panu Florimont, że przekroczył prawa gościnności.

I wzięwszy pieniądze, które ojciec mu przysunął, pożegnał się bardzo serdecznie z markizem i oddalił się szybko. Po odejściu syna Honoryusz zapalił nowe cygaro i upajając się niem z rozkoszą, pograżony w myślach, doszedł w końcu do różnych wniosków.

* * *

Fryderyk udał się do siostry, która dotąd płakała jeszcze.

— I cóż? — spytała niespokojnie.

— O moja droga siostro — odpowiedział również bliski wybuchu — sądzą, że oboje cierpimy bardzo.

XII.

Garden party.

W dwa tygodnie po tych wypadkach, trzy osoby znajdowały się w kiosku chińskim, umieszczonym w parku, położonym nad Sekwaną koło Marly-le-Boi. Te trzy osoby były to: baronowa de Vauchelles, jej mąż i hrabia de Brettecourt, który jadł z nimi śniadanie.

Baronowa ubrana w lekką różową tualetę, nalewała kawę, a mąż jej częstował gością cygarem.

— Teraz generale — rzekła baronowa — jesteśmy sami i mam nadzieję, że zechcesz mi podać przyczynę uporczywej odmowy... Nie chcesz zostać u nas, gdy ja pana przyrzekłam moim gościom!

— Jako chińskiego generała... — rzekł generał z uśmiechem.

— Jako człowieka, o którego najbardziej ubiegają się w Paryżu.

— Na mały tydzień! — rzekł Brettecourt.

— Jesteś strasznym przeciwnikiem, generale! Miej litość nad biedną Paryżanką...

— Która nie wierzyła w moje istnienie!

— Zapewniam, że mówiłam do mego męża tylko to: Ależ on istnieje tylko w twojej wyobraźni, ten hr. de Brettecourt, bo nikt go nigdy nie widział!

— A jednak żyję — odpowiedział Brettecourt. — Vauchelles niegdyś dał mi dowody swej przyjaźni w okoliczności nader bolesnej i nigdy mu tego nie zapomnę. Czyż mogę zerwać z memi dzikimi przyzwyczajeniami i cieszyć się dzisiaj z waszymi gośćmi, jeśli mam rzeczywiste powody, właśnie dzisiaj bardziej stronić od ludzi niż zwykle?

— A te powody?

— Właśnie te, że między zaproszonymi znajduję się tacy, z którymi niepodobna mi się spotkać.

— Gdybym wiedziała ich nazwisko, mogłabym ich przeprosić.

— To wtedy ja byłbym niepokieszony.

— Czy może rodzina de Villepreux?

— Tak jest.

— Ależ to chyba już zapomniane... to stare historie — zawołała baronowa tonem oburzenia.

— Są rzeczy, których się nigdy nie zapomina pani. Ja ze swej strony nie zapomnę nigdy pani uprzejmego nalegania i dziękuję również za zaproszenie mego młodego przyjaciela Jana Renaud... To taki zacny człowiek i do tego młody.

— Sierżant — rzekła pogardliwie baronowa.

— Wkrótce porucznik pani.

— Daleki skok od porucznika do generała...

— Wierz mi, pani, że jest on obecnie więcej w modzie, aniżeli ja, i wszystkie młode panny będą do niego robić słodkie oczy... Czy wiecie państwo, że posiada on wspaniałą pałacik, wyborowego kucharza i rozporządza 50,000 rocznej renty na swoje kawalerskie potrzeby?

— Ależ to prawdziwa perła!

— Perła, pani. I przekonasz się Vauchelles, jak on ludzaco przypomina mego biednego Jana de Villepreux i właśnie temu podobieństwu przypisać należy, że porzucił mój niedźwiedzi sposób życia. Będę państwu bardzo wdzięcznym, jeśli zaopiekujecie się nim w tym świecie, którego on wcale nie zna...

— Czy jest nieśmiały? — spytała baronowa.

— Trochę... jak wszyscy bohaterowie. Przytem szlachcie w każdym calu.

— Czy szlachcie w istocie? — spytała trochę pogardliwie baronowa.

— Nosi szlachectwo w sobie — odpowiedział Brettecourt uśmiechając się trochę szydereco. — Zaprosicie państwo prawdopodobnie najelegantszy świat paryski?

— O, będą tylko ci, którzy nie schronili się nad morze lub po zamkach... — I wyliczyła z dumą wiele nazwisk wybitnych, wspaniałych tytułów, kończąc temi słowy:

— Będą także les Villepreux, mała Florimont, pani Dickson...

— Co to za pani Dickson? — spytał Brettecourt.

— Zachwycająca Amerykanka — odpowiedział Vauchelles.

— Bardzo bogata — dodała baronowa — a którą zaprasza się zawsze, jeśli się chce mieć u siebie pana de Villepreux.

— Ah, rozumiem — rzekł Brettecourt znacząco. — I cały ten piękny świat uprawiać będzie lawn-tennis?

— Lawn-tennis, krokieta, ślepa-babkę i inne

gry, z małym podwieczorkiem w gęście obiadu, a na zakończenie zaimprowizujemy mały bal...

— Pani, mam zaszczyt ją pożegnać. Zechcesz pani prawdopodobnie upewnić się jeszcze, czy niczego nie brakuje. Proszę wybaczyć, że ze mnie taki mizantrop.

Vauchelles wyprowadził pułkownika aż na ulicę.

Brettecourt przyjechał konno.

— Polecam ci gorąco mego protegowanego — rzekł generał wsiadając na konia.

— Bądź spokojny. Jutro będziesz dokładnie poinformowany o wszystkim, co zajdzie dzisiaj.

* * *
Okolo trzeciej po południu zapanowało ogromne ożywienie na olbrzymim trawniku, rozciągniętym przed wspaniałym pałacem, zamieszkiwanym dawniej, przez rodzinę Croshard a potem oddanym w posagu baronowej de Vauchelles. Liczne towarzystwo młodych osób, wesołych, promieniejących, ubranych wytwornie, zabawiało się na nim, ze śmiechem, z hałasem, z oklaskami uznania za każdym zdolnym rzutem lub z okrzykami szydreczego politowania przy każdej niezręczności. Na tarasie mamy tworzyły grupę mniej lub więcej sympatyczną, śledząc z zajęciem zabawę swoich

dzieci. Ojcowie przechadzali się po salonie, paląc i rozmawiając o koniach lub interesach. Baronowa zachęcała grających, zajmowała się młodemi paniami niebiorącemi udziału w zabawach, mówiąc wszystkim z tajemniczą miną:

— Proszę nie odjeżdżać przed podwieczorkiem, gdyż będzie niespodzianka.

Vauchelles był zdumiewająco czynnym. Biegał z jednego końca trawnika na drugi, czuwając nad roznoszeniem chłodzińców pomiędzy grających, aby oszczędzić im czasu udawania się do bufetu, dostarczając przedmiotów do gry, badając, czy mały „poney” służący do ślepej-babki jest w porządku, gdyż osoba, mająca łapać inne, wsiadała na „poney”. Był to nowy figiel w rodzaju fotelu, świeżo sprowadzony z Anglii.

Lawn-tennis, polo, ślepa-babka a nawet skromny krokiet były jeszcze w całym rozwoju, gdy dzień miał się ku końcowi, dzień wspaniały, bez chmurki, bez najłżejszego powiewu wiatru... Zatrzymano się tylko przez krótką chwilę, by podziwiać zachód słońca i na propozycję baronowej całe towarzystwo zwróciło się w głąb parku, z kądem można było obserwować słońce, zapuszczające się między drzewa, pokrywające pagórki.

Widok był wspaniały, ale psuty wykrzy-

knikami zachwyty ze strony chcących przypodobać się baronowej.

— O! to wspaniałe! to zachwycające! Co za cudowne odcienia! Doprawdy moja droga, to roskosz, mózdz spędzić tutaj lato!...

Pośród tego różnorodnego, eleganckiego tłumu, zajętego bardziej zazdrością, sprzeczką niż cudami natury, tylko kilka osób doznawało tego upajającego wrażenia, jakie daje przyroda tym, którzy kochają. A pomiędzy najgoręcej odczuwającymi był Jan Renaud. Stał obok pań i panny de Villepreux. Henryetta wspierała się na ramieniu brata. Przez cały dzień Jan zachowywał się bardzo skromnie. Mało grał, trzymając się prawie na uboczu, obserwując ten świat, który znał tak mało, a szczególnie zwracając uwagę na Henryettę i czuł się bardzo zmieszany, ilekroć pan de Villepreux opuszczał palących i przechodził obok niego, jakby bacząc na jego zachowanie się.

Był upojony tą ciszą wielkich drzew, lekkim szmerem Sekwany, błyszczącej w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, świeżym zapachem liści...

— Jakże to piękne — wyszeptał.

— Pan widziałeś prawdopodobnie w swoich podróżach piękniejsze zachody słońca?

— O pani, żaden nie wydał mi się tak pięknym, jak dzisiaj.

A mówiąc to spoglądał na Henryette.

— Czyż można się czemś prawdziwie zachwycać, będąc zdala od tych, których się kocha?

W tejże chwili markiz przybliżył się do żony, trzymając jakąś nader elegancką damę pod ramię:

— Moja droga przyjaciółko, pozwól przedstawić sobie panią Dickson.

Julia skłoniła się dość lekko, nie obdarzając nawet najmniejszym uśmiechem Amerykanki, która przeciwnie ukloniła się jej nader uprzejmie, wypowiadając w gorących słowach, jak czuje się szczęśliwą, mogąc ją poznać i jak będzie zachwyconą, mogąc ją przyjąć u siebie, gdyby zechciała towarzyszyć swej córce podczas balu, który daje w swym pałacu przy Avenue du Bois de Boulogne.

— Bywamy bardzo mało w świecie — odpowiedziała zimno markiza.

Ale piękna Amerykanka zdawała się nie spostrzegać sztywnego przyjęcia, jakiego doznała od pani de Villepreux i zawołała:

— Edyto!... Edyto!... Zbliź się tutaj.

Wysoka młoda dziewczyna, imponującej piękności, opuściła grupę młodych ludzi, którzy jej

nadskakiwali, albo też używając wyrażenia angielskiego, wprowadzonego przez świat eleganci, którzy „flirtowali“ (wyrażenie angielskie pochodzące jednak od starego słowa francuskiego *fleureter*) i zbliżyła się z minką niezadowolenia, że przerwano jej zabawę.

— Mamo?

— Przedstawiam pani moją córkę, która będzie zachwycona z poznania panny de Villepreux.

Usłyszawszy to nazwisko, twarz miss Edyty pozbyła się w tej chwili wyniosłego wyrazu i z niewysłowionym wdziękiem skłoniła się markizie i jej córce.

Honoryusz wzięwszy za rękę swego syna, który stał trochę w głębi, przywiódł go do miss Edyty.

— Hrabia de Villepreux — powiedział — który nawet w Tonkinie nie pozbył się talentu walcowania.

Elyta przybrała wyzywającą minę:

— Walcuję zadowalniająco, a pan?...

— Bardzo miernie — odpowiedział Fryderyk.

— Zaraz to osądzimy — rzekł Honoryusz trochę niezadowolony. — Podejrzynam panią de Vauchelles, że niespodzianką, jaką nam przygotowuje, będzie właśnie bal.

A ponieważ zaproszono do podwieczorku, markiz odezwał się do Fryderyka tonem stanowczym, nie dopuszczającym odmowy:

— Czy będziesz łaskaw ofiarować swe ramię miss Edycie?

Sam zaś zwrócił się ku trawnikowi, podając rękę pani Dickson.

— Pierwsze spotkanie nie było gorące — zauważyła cicho.

— Pozwól mi działać, moja piękna przyjaciółko — odpowiedział markiz zarozumiale. — Jestem panem domu... ale rozpoczynam zawsze łagodnie.

Jan Renaud szedł z panią de Villepreux. Oswobodzony od przykrego wzroku Honoryusza, czuł się odrazu odważniejszy. Fryderyk udzielił mu wyjaśnień, jakie ze swej strony uważał za stosowne, a przedstawiając swemu przyjacielowi bardzo poważnie wyjątkowy stosunek rodzinny, młody hrabia de Villepreux nie obwinił ani ojca, ani matki, ani swej babki; składał wszystko na rozmaite pojęcia... nieporozumienia... które czas niewątpliwie ułagodzi.

— Jesteś ofiarą tych nieporozumień — zapewniał Jana. — Wdzięczność mojej matki i babki jest dla ciebie niewypowiedziana, a to wystarczy aby wywołać niechęć mego ojca. Ale jestem zo-

bowiązany przez moją babkę prosić cię usilnie o odwiedzenie nas. Chce się wytłumaczyć przed tobą z nagłego wzruszenia, jakiego doznała na twój widok, a którego nie mogła pohamować... Chce móż okazać ci sama swoją wdzięczność...

— Zaczekajmy jeszcze — odpowiedział Jan — zaczekajmy.

Jan pałał chęcią zobaczenia tych pań a zwłaszcza Henryetty, ale zraniony głęboko lekceważeniem markiza, miał siłę przebyć dwa tygodnie, nie pokazując się w pałacu przy ulicy Saint-Dominique. Jednakże zaproszenie baronowej de Vauchelles przyjął jedynie dla tego, że był pewny spotka, iż tam Henryettę.

Nasyciwszy się zachodem słońca, zaproszeni goście udali się znowu na trawnik.

Podczas gry gospodarz kazał ustawić na świeżem powietrzu po drugiej stronie willi niezliczoną ilość małych stolików z całą zastawą podwieczorkową. Rozpoczął się prawdziwy lunch.

Po jedzeniu otworzono pozamykane dotąd okna willi i dwa wielkie salony, buduar i sala jadalna, okazały się olśniewająco oświetlone. Była to niespodzianka, bo w tejże samej chwili odezwały się dźwięki orkiestry, a wszystkie młode panny odezwały się uradowane:

— Co za szczęście! będziemy tańczyć!

Fryderyk siedział między Edytą i swoją matką, ale był bez humoru.

— Jakiś nieśmiały młody człowiek—mówiła do siebie Amerykanka.

Od czasu do czasu znudzony Fryderyk rzucał spojrzenie na matkę, rozmawiającą z Janem Renaud i notaryuszem Florimont. Notaryusz był źle usposobiony i wściekły na Fryderyka za zwrot tych 60.000 frank., zwłaszcza że wziął je od swego ojca, wściekły na córkę, która od owego pamiętnego dnia miała twarzyczkę zasmuconą. Był niezadowolony sam ze siebie, nie będąc pewny, czy nie za szorstko postąpił sobie z Fryderykiem. Stracił wesołość, bystrość dowcipu, apetyt i pragnął, aby córka podała mu jakiś środek załagodzenia sprawy. Ale Ludwika zносиła z godnością swoje zmartwienie i przyprowadzała go do rozpaczy swym spokojem, swoim zachowaniem dumnym i stanowczym.... Gdy jednak spostrzegła Fryderyka asystującego pięknej amerykance, poczęła tracić równowagę, a częste wejrzenia, jakie jej posyłał młody człowiek, nie zadawały jej zupełnie.

Było jeszcze gorzej, gdy po skończonym obiedzie Fryderyk podał ramię swej towarzysze

i zaprowadził ją na salę balową. Fryderyk był tylko posłuszny markizowi. Czyż mógł odmówić tej przyjemności ojcu, który tak uprzejmie zapłacił jego dług, wynoszący 60,000 franków?

XIII.

Wyznanie.

Bał zaimprovizowany przez baronową de Vauchelles, zbliżał się ku końcowi. Rodzice zaczęli już się naradzać nad koniecznością odjazdu, a młode panny odpowiadały jednomyślnie, że oznaczone na karnecikach balowych zaproszenia nie pozwalały im jeszcze oddalać się... Miss Edyta miała szalone powodzenie... Ludwika tańczyła niezliczoną ilość razy z Fryderykiem, nie troszcząc się o minę swego ojca, raz wściekłą, to znów żalonną. Henryetta także nie przestawała rozmawiać z Janem Renaud... Markiz zabawiał mistress Dickson, którą porozumiewała się z nim tajemniczo... Zaś Julia de Villepreux cieszyła się w głębi duszy ze szczęścia córki, w której spostrzegała wzmagające się uczucie, gdy baronowa de Vauchelles zapowiedziała kotyliona.

Kotylion!

To słowo przekonało rodziców, że muszą ustąpić wobec życzenia młodzieży. W takiej chwili nie odchodzi się z sali balowej.

Najpierwsza przyklasnęła tej nowinie Ludwika, ale jednocześnie twarz jej zasępiła się, gdy baronowa wyszukała i złączyła razem Fryderyka z Edytą. Natychmiast też pod pozorem zmęczenia odmówiła wszystkim danserom.

Podczas gdy robiono więcej miejsca do tańcu, Fryderyk stosując się uprzejmie do życzeń baronowej, ułożył w porządku akcesorya kotylionowe i wraz z Edytą omawiał porządek tańców. Ludwika wzięła pod ramię Henryettę i wyszła do parku na przechadzkę. Pani de Villepreux i Jan udali się za nimi.

Wszyscy czworo szli w milczeniu, zajęci wyłącznie sobą. Ludwika starała się pokonać swoją zazdrość, markiza myślała nad pokrzyżowaniem projektów męża, które odgadła bardzo łatwo, a Jan i Henryetta utonęli w swem szczęściu, które już łączyło ich razem, gdyż mieli czas przyznać się sami przed sobą do miłości, która tak prędko zrodziła się w ich sercach.

Doszli aż do Sekwany. Wówczas markiza zdobyła się na śmiały plan, mając moralne prze-

konanie, że działa z wolą swej świekry i syna — wysunęła rękę z pod ramienia Jana a objawszy w pół Ludwikę, nieznacznie odciągnęła ją od Henryetty oddalając się coraz bardziej naprzód, a zostawiając młodą parę sam na sam.

Jan i Henryetta szli obok siebie w tej ciszy nocnej, — nie śmiejąc słowa wypowiedzieć. Jan stał się bardziej jeszcze nieśmiały. Henryetta pierwsza przerwała to milczenie:

— Tam na balu, pośród tego zgiełku, nie chciałam pytać o pańską matkę... Jak pan musisz ją kochać!

— Gdybyś ją pani знаła, pokochałabyś ją bardzo prędko.

— Zdaje mi się, że ją już znam... Babcia moja tego rana mówiła mi: musi to być czarująca i szlachetna istota, gdy zrobiła ze swego syna tak dobrego, prawego i walecznego chłopca.

— I to babcia pani tak powiedziała?

— Z różnymi jeszcze dodatkami mówi o panu codziennie.

— Obawiałem się, że nigdy nie zdołam jej sobie pozyskać!... Nasunąłem jej na myśl takie okropne wspomnienia...

— Pierwsze wrażenie już minęło i obecnie wzbudzasz pan w niej tylko przyjemne myśli.

— O pani, matka moja również często, bardzo często myśli o was. Już w listach moich z Tonkinu, pisząc o moim przyjacielu Fryderyku, wspominałem o jego rodzinie... O, bo ja panie znam doskonale — rzekł z pewnym odcieniem wzruszenia. — Tam nie mieliśmy z Fryderykiem żadnych tajemnic przed sobą... Pokazał mi medalion, gdzie są umieszczone trzy pani portrety a gdy otrzymał list od pani, natychmiast pytałem go o panię, tak jak on pytał mnie o moją matkę. Twarz pani stała się dla mnie twarzą ukochanego przyjaciela... I przebacz pani mej śmiałości... myślałem sobie, że po powrocie, jeśli Fryderyk przedstawi mnie swej rodzinie, z całym szacunkiem ofiaruję pani moją przyjaźń... Przebacz, wstrzymaj mnie pani, jeśli powiem jakie słowo, które cię obrazić może...

— Mów pan, mów — odrzekła Henryetta, drżąc jak listek.

— Żyłem tak długo z myślą o pani! I gdy ujrzałem panią tak piękną, tak wdzięczną, bardziej niż sobie to wyobrażałem, gdy wyczytałem w oczach pani tyle dobroci... Pani pytasz mnie o moją matkę? Otóż dotąd tylko w oczach mojej matki widziałem tyle słodyczy i nie sądziłem, by jaka kobieta w świecie mogła podobne oczy

posiadać... Może błędzę, wyrażając się zbyt śmiało, ale taką czuję potrzebę mówienia szczerze, otwarcia przed panią mego serca... Tyle wycierpiałem od dwóch tygodni!

— Ja cierpiałam także — odrzekła Henryetta zaledwie dosłyszalnym szeptem.

Ona również nie potrafiła ukryć swoich myśli. Ośmielony Jan wziął lekko za rękę Henryettę. Ona zezwoliła, milcząca, upojona szczęściem.

I z drżeniem w głosie ciągnął dalej:

— Gdybyś pani wiedziała! Nie znam zupełnie życia paryskiego, życia salonowego. Cała młodość moja upłynęła między moją matką i babką, dobrą i skromną kobietą, której życie było jednym pasmem cierpień... Uwielbiały mnie obie — nie miały prócz mnie nikogo. Byłem obdarzony usposobieniem nadto popędliwym, one ułagodziły je swoją miłością. Wszystkie ich nauki można streścić słowy: Obowiązek, honor, miłość.

— To zupełnie tak, jak moja matka i babka mnie wychowywały!

— Gdy stałem się dojrzałym młodzieńcem, obawiały się — zwłaszcza matka — abym nie popadł w złe, beczynne życie, które zwykle bywa udziałem bogatych Paryżan i zbyt kochanych przez swoich... Wysłała mnie w podróż. Objężdża-

łem świat nie wstępując na dłużej do Paryża, jak tylko na odpoczynek — nie zaznałem i jestem szczęśliwym, że nie poznał uciech życia paryskiego... We wszystkich moich dalekich podróżach zachowałem serce czyste i pozostałem nawet trochę dzieckiem w sprawach uczuciowych. Nie kochałem nikogo prócz mojej matki i babki, gdy wtem poznałem hrabiego de Brettecourt. Pani wie już z jakim pospiechem ofiarowałem mu moją przyjaźń, jak on obdarzył mnie swoją. Potem pokochałem brata pani, podziwiałem jego rycerski charakter... I on pokochał mnie także...

— Bo pan jesteś godnym jego!

— A potem... pani zajęła miejsce w mem sercu. Babka pani i matka również, ale pani przed wszystkimi! A gdy Fryderyk oznajmił mi, że otrzymał list z Francji i że w tym liście poświęcono i mnie jedną myśl... mnie, którego pani nigdy nie widziała, o! jakże byłem wówczas szczęśliwym!... Portret pani wyrył się w moim sercu. Pisałem o pani do mojej matki.... miałem ochotę prosić ją, by starała się panią zobaczyć, żeby mogła mi powiedzieć, czy pani w istocie jesteś tak dobrą, jak to przeczuwałem. Nie uczyniłem jednak tego, jedynie z obawy, by nie nazwała tego dzieciństwem. Wreszcie zobaczyłem pa-

nią i doświadczyłem najrozkoszniejszego wrażenia... Cóż więc to za cios był dla mnie, gdy wizyta moja została tak smutno przerwana!... Ukryłem to zmartwienie przed moją matką. Chciała koniecznie poznać powód tej melancholii, która mię ogarnęła od tego dnia, musiałem więc wobec niej udawać wesołego. Cierpiała by tak bardzo, gdyby się dowiedziała, że ja cierpię... Mówię jej o pani po całych dniach, a dzisiaj zrana, gdym jej oznajmił, że spodziewam się panią tutaj spotkać, odrzekła mi bez cienia zazdrości: „Idź moje dziecko, miej dzień szczęśliwy“...

— Jaka matka pańska musi być dobra!

Nastąpiła krótka cisza. Łzy spływały po twarzy Henryetty, łzy szczęścia i spadły na rękę Jana. Pochylił się i wypił je chciwie. I nagle miłość zrodzona tam w oddaleniu, gdy nawet nie miał czasu myśleć o niej, gdy życie jego było bezustannie w niebezpieczeństwie, miłość ta zajaśniała teraz w całym blasku, wybuchła z całą namiętnością, gdy znalazł się naprzeciw tej, która tak godną była jego uczucia.

— Uwielbiam cię pani!

Henryetta zrazu nic nie odrzekła, tylko ścisnęła gorączkowo rękę Jana. Potem bardzo wolno odpowiedziała:

— Ja także kocham pana. Kocham z całej mojej duszy!

Jan oszołomiony złożył pocałunek na ręce Henryetty. Pannę de Villepreux przejął dreszcz rozkoszny, ale wyrwała swoją rękę i podbiegła naprzód, wołając:

— Mamó! mamó!

Markiza, która zaledwie znajdowała się o kilkanaście kroków, odwróciła się.

— Wołasz mnie moja droga?

Henryetta rzuciła się w jej objęcia, wypowiadając głosem zdławionym przez łzy:

— O! mamó, mamó, jakże jestem szczęśliwą!

Pociągnęła ją szybko ku willi a Jan znalazł się sam z Ludwiką.

Córka notariusza śmiać się zaczęła nerwowo.

— Panie bohaterze, jesteś zmuszony zadowolnić się mojem towarzystwem.

— Ależ... to mi niezmiernie pochlebia — odpowiedział Jan, ofiarowując jej ramię.

— Jak pan drżysz!... Przypuszczam, że to ze szczęścia!

— Pani!

— Tajemnice zbyt czyste między nami, znam wszystkie myśli Henryetty. O, ona jest szczęśliwa! Postąpili kilka kroków. Jan myślał nad wy-

powiedzeniem jakiejś grzeczności tej miłej dziewczynie, ale był tak nieprzytomny, że nie mógł znaleźć jednego wyrazu.

— Czy znajdzie się jeszcze jaki mały kącik w pańskim sercu? — zapytała dość szorstko.

— Dla pani zawsze, nawet, jeśli chcesz...

— W znaczeniu przyjaźni naturalnie!

— W imię przyjaźni, znajduje się tam tylko pułkownik de Brettecourt i Fryderyk...

— Właśnie proszę o miejsce między nimi obydwoma. A zatem jesteśmy przyjaciółmi?

— Tak, przyjaciółmi — odpowiedział wesoło Jan, który gotów był w tej chwili kochać świat cały.

— Słowo?

— Słowo.

— Prawdziwy przyjaciel odpowiada: zawieramy alians.

— Alians, dobrze. Ale przeciw komu?

— Przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi.

— Jakiemu nieprzyjacielowi?

— Poznasz go pan, ale później... Oh! pan sądzisz, że to wszystko tak łatwo pójdzie? Ja także sądziłam, że to tak łatwo... ale zaczęło mię tak dręczyć i torturować, że dziś mi serce pęka.

— Nie nie rozumiem.

Bibl. najnow. pow. i nowel. — Tom IX.

— Opowiem panu wszystko dokładnie u mnie w domu, jeśli uczynisz mi ten zaszczyt i przyjdiesz do mnie.

— Gdy tylko ojciec pani nie będzie miał nic przeciw temu...

— Ojciec mój robi to, co ja chcę. A więc przyjaźń zawarta?

Jan wyciągnął do niej obie ręce, ona zaś podała mu swoje z ufnością.

— Przyjaźń zaczepna i odporna?

— Rozkazuj pani tylko!

— Teraz chodźmy na bal. Weź pan udział w kotylionie i tańcz ze mną dużo, walcuj, tańcz — powtarzała gorączkowo kilka razy. — Dowiodę tej Amerykance, że Paryżanki potrafią uczynić to wszystko, co i one tam za oceanem.

* * *

Nazajutrz o bardzo wczesnej godzinie, Jan Renaud wysłał bilecik do swego przyjaciela, prosząc go o przybycie bezzwłoczne, czuł bowiem potrzebę zwierzenia mu rzeczy nader ważnych.

Fryderyk, domysłając się, jakiego rodzaju mogą być te zwierzenia, przybiegł uradowany do pałacu przy ulicy Fortuny, a widząc przyjaciela w ubraniu do konnej jazdy:

— Wyjeżdżasz? — spytał.

— Nie, wróciłem... Odbylem już długi spacer.

— Jesteś w takim razie niezmordowany! — Po tańcu koń!

— Ah! przyjacielu, nie mogłem zmrużyć oka.. byłem cały w ogniu... Czy widziałeś dzisiaj panią de Villepreux?

— Nie mój drogi; zaledwie wstawano, gdy wydałem się z domu...

Jan Renaud chodził jakiś czas po pokoju niezmiernie wzruszony, potem rzekł żywo:

— Mój drogi przyjacielu, nie mogę dłużej ukrywać: kocham pannę Henryettę de Villepreux!

Fryderyk zbliżył się do Jana z otwartymi ramionami.

— O! Janie! Janie! jakąż to radością nowinę mi zwiastujesz!

— Moje wyznania zatem nie... obrażają cię?

— Boże! dlaczegoż miałyby mię obrażać?

— Dlatego, że nie jestem z waszego świata, nie jestem... urodzony, jak mówicie!

— Szlachectwo nie zawiera się w nazwisku, ale w poczuciu własnej godności!

— Wczoraj byłem szalony!... Wyznałem moją miłość twojej siostrze...

Fryderyk mimowolnie ściągnął lekko brwi,

ale Jan porwany jedną tylko myślą, nie zauważył tego.

— Matka twoja jednakże zezwoliła na to tète a tète — mówił dalej. — I sądz o mojej szalonej radości! Siostra twoja z wrodzoną skromnością, zezwalając mi mówić tylko o tobie i o mojej matce, pozwoliła mi domyśleć się, że moja miłość nie sprawia jej bynajmniej przykrości... Fryderyku! czy zechcesz być moim rzecznikiem w obec twoich rodziców?...

— Z całego serca, Janie! Ale muszę cię uprzedzić, że stan majątkowy panny de Villepreux nie stoi na równi z twoim...

— Przez litość, przyjacielu, ani słowa o pieniądzach!

— Zatem bądź zdrów... Chcę natychmiast mówić z ojcem.

— Dziękuję.

Gdy Fryderyk powrócił na ulicę Saint-Dominique, Henryetta z matką znajdowały się w pokoju babki, opowiadając jak się bawiły wczoraj w Marly-le-Boi.

Fryderyk poprosił ojca o przyjście do pokoju babki, a oddalając siostrę, rzekł tonem niby rozgniewanym:

— Brzydka siostrzyczka, która ma sekreta przed swoim starszym bratem!

— Dlaczego nie mogę być obecną? — spytała cała w ponsach.

— Dlatego — odrzekł żartobliwie Fryderyk — bo podczas narady wojennej oddalają obwinionego, gdy przygotowują nań wyrok.

Henryetta spuściła oczy i oddaliła się.

Wkrótce też i Honoryusz wszedł do pokoju i spytał swobodnie:

— Czegoż życzysz sobie odemnie, mój kochany? Czy to ma być narada familijna?

— Tak, mój ojcze, gdyż w obecności wszystkich chcę ci przedłożyć moją prośbę.

— Słucham cię — odrzekł markiz mocno zaintrygowany, myśląc w głębi duszy: poszło prędzej, niż się spodziewałem!

Obie damy uśmiechały się znacząco, dodając również ze swej strony przyzwolenie.

Fryderyk zastanowił się chwilę.

— Wiecie państwo wszyscy tak jak i ja, do jakiego stopnia mój przyjaciel zasługuje na szacunek i uznanie...

— Bezwątpienia — odpowiedziały razem obie damy.

— W istocie — potwierdził markiz bez naj-

mniejszej oznaki uniesienia. — Dość mi się podoba ten chłopiec.. Tylko nie wcale rozumiem, co osoba Jana Renaud ma wspólnego z naradą rodzinną rodziny de Villepreux?...

— Ponieważ zawezwał mię do siebie dziś rano, mój ojcze, aby mi przedłożyć swoje zamiary...

— Pan Jan Renaud ma swoje zamiary względem nas?... — spytał markiz takim tonem, w którym nie trudno było dopatrzyć się ironii. — Nie pojmuję...

Fryderyk z całym spokojem oznajmił:

— Jan Renaud kocha Henryettę i zobowiązał mię do przedłożenia mej rodzinie prośby o jej rękę.

— Czy ty oszalałeś mój synu? — zawołał żywo markiz.

— Mój ojcze, propozycja ta zgadza się z najgorętszym mojem pragnieniem.

— Jak widzę, ten Tonkin pomieszał ci całkiem rozum...

— Ojcze — rzekł Fryderyk podnosząc głos — przysięgam ci, że Jan Renaud...

— Nie unośmy się, mój kochany! Małżeństwo jest rzeczą bardzo poważną i musi być obmyślane rozsądnie. No, proszę, ktoby to był przypuszcili, że ten Jan Renaud, o którego zacząłem się trosz-

czyć.. I wyobraź sobie, że ja także marzyłem ożenić go i byłem już gotów proponować mu bardzo odpowiednie małżeństwo, nie świetne wprawdzie pochodzeniem, ale bardzo dobre ze stanowiska materialnego. Widząc go wczoraj tańczącego z Ludwiką, mówiłem sobie, jaka to byłaby dobrana para...

Fryderyk zbladł, ale markiz zdawał się na to nie zwracać uwagi. Porzuciwszy jednak ton humorystyczny, ciągnął dalej:

— Pan Jan Renaud ma jednak aspiracye wyżej idące!... Poślubić pannę de Villepreux! Bardzo wygórowane żądanie, słowo honoru! gdyż już król Ludwik XII., po jakimś pięknym czynie bohaterskim jednego z naszych przodków, zapewnił damom z rodziny de Villepreux, jak nasi ojcowie zwykli byli się wyrażać starą modą: szlachectwo żołądka. To znaczy, że gdybyśmy mieli szczęście żyć za czasów monarchii, to taki Jan Renaud, mieszczuch, zaślubiając pannę de Villepreux, byłby uszlachetniony albo co najmniej widziałby dzieci swoje uszlachetnione, samym tylko faktem małżeństwa... Ale żyjemy w czasach Republiki, a potomkowie takiego związku, będą skazani na odziedziczenie tylko bardzo może zaszczytnego ale zupełnie pospolitego nazwiska Renaud...

— Gdybyśmy żyli za czasów monarchii, mój ojcze, Jan Renaud byłby już dawno otrzymał tytuł szlacheica, a Republika wkrótce zamianuje go oficerem i bardzo prawdopodobne że nagrodzi, krzyżem legii honorowej, co znaczy więcej niż tytuł szlachecki, gdy został osiągnięty na polu walki.

— To też mój synu widzisz mię dość przychylnie usposobionym — nie odmawiam twemu przyjacielowi... ale się zastanowię nad prośbą twego przyjaciela i zapewniam cię..

— Oh! dziękuję ci, mój ojcze!

— Nie dziękuj mi jeszcze. Nie dałem jeszcze odpowiedzi, i proszę, aby ani jedno słowo z tej rozmowy nie doszło do wiadomości twojej siostry! Miło mi skonstatować, że nie wie nic jeszcze o nagłej skłonności twego przyjaciela. Miło mi również wierzyć, że nie zaszła tu żadna nieroztropność.

Przy tych słowach nie zaniedbał spojrzeć znacząco na swoją żonę, która zbladła okropnie.

— Ty sam, mój synu, zaprzestań na razie widywać się z twoim przyjacielem aż do czasu nowej naszej decyzji... Biorę wszystko na siebie; zasięgnę odpowiednich informacji... Zwrócę się po nie wprost do samego p. Jana Renaud. Przed

udzieleniem mu odpowiedzi, trzeba, abyśmy wiedzieli kto on jest, jaką jest rodzina jego matki i rodzina jego ojca... Bankier mój zajmie się sprawdzeniem ich stanu majątkowego i źródłem, z jakiego ten majątek pochodzi... Polegaj zatem na moim rozumie, na moich dobrych chęciach.

XIV.

Ojciec Jana Renaud.

„Kochany panie Renaud! Syn mój oznajmił nam o twojej miłości dla panny de Villepreux. Dziękuję ci za pański takt w postępowaniu. Postąpię również otwarcie, jak pan. Nie ukrywam bynajmniej, że zrazu byłem przeciwny podobnej propozycji, jednakże syn mój tak dobrze bronił twojej sprawy, że aczkolwiek nie czyniąc jeszcze zadość pańskim życzeniom, chciałbym jednak z prawdziwą życzliwością zastanowić się, czy ziszczenie pańskich marzeń było by możliwem. Mniemam, że nie weźmiesz pan za złe ojcu, którym powoduje dobro jego dziecka. Bądź pan łaskaw poinformować mię dokładnie o pochodzeniu rodziny pańskiej matki, jakoteż pańskiego ojca.

Wolę udać się wprost do pana i od pana samego oczekiwać objaśnień, jakich rozsądny ojciec nie powinien zaniedbywać, przed zezwoleniem na związek jednego z swych dzieci.

Zechciej przyjąć, kochany panie Renaud, zapewnienia mego prawdziwego poważania.

Honoryusz de Villepreux.“

Jan Renaud, przeczytawszy list kilka razy, zerwał się jak szalony, wołając:

— Mój ojciec!... mój ojciec!... rodzina mego ojca!... Matka nigdy mi o niej nie wspominała... Dla czego?... Dla czego?... A ten akt urodzenia, o który tyle razy prosiłem, a którego dotąd nie otrzymałem!

Rzucił się do telefonu, wzywając matkę, a za nim odpowiedziano mu dzwonieniem musiał obetrzeć czoło, po którym spływał pot gęstemi kroplami.

— Jestem moje dziecko! — odpowiedziała Marya Renaud.

— Muszę się widzieć natychmiast z tobą mammo, ale natychmiast..

— Dobrze moje dziecko, każę tylko zaprządz i zaraz przyjeżdżam.

— A proszę cię, przywieź z sobą moją metrykę. Chciałbym nareszcie ją mieć u siebie. General

Brettecourt żąda jej odemnie do mej nominacyi na oficera...

I nie czekając na odpowiedź matki, przerwał komunikację.. Gdyby mógł był domysleć się, jaki cios zadał swojej matce!... Potem rzucił się na otomanę w swoim gabinecie i oczekiwał.

* * *

Marya Renaud usłyszawszy to straszne dla niej słowo, straciła przytomność. Babka trzeźwiła ją.

— Co to?... Co się stało?... Co on ci powiedział?... Co za zmartwienie wyrządzono mu w tym wielkim świecie?

Marya odzyskała zmysły.

— Prędko! prędko, powóz! — I wyjęła ze swego sekretarzyka arkusz zapisanego papieru. Pani Renaud zrozumiała.

— Jadę z tobą.

— Nie, nie — odrzekła Marya stłumionym głosem! — Chwila nadeszła... chcę być z nim sama... chcę tego!

— Ależ moja droga!

— Tak chcę!

I odjechała sama rzuciwszy się z łkaniem na poduszki powozu. Ale nie myślała o sobie. My-

ślała o nim. Do czego potrzebnym ten przeklęty papier?...

Odgadła bowiem, że idzie zupełnie o co innego, niż o jego nominację, ponieważ życzył sobie widzieć się z nią natychmiast...

Jaką boleść mu zadano? Jaką obelgę wyświadczone? O, jakże on musi cierpieć!

Nareszcie przybyła na miejsce. Zastała Jana bladego, zgnębionego, nieszczęśliwego. Podniósł się ociężale na jej spotkanie. Ona przytuliła go do piersi, kołysząc jego głowę jak wówczas, gdy był jeszcze dzieckiem. Opuściła zapisany papier na dywan. Jan spoglądał na ten papier, nie śmiąc wyciągnąć po niego ręki.

— Bądź szczerzy ze mną mój drogi... wszak nie o nominację tu się rozchodzi?

— Odgadłaś!

— Czyż która matka nie odgaduje wszystkiego? Idzie o pannę de Villepreux, nieprawdaż? I chcesz się pewnie dowiedzieć... albo może inni chcą wiedzieć, kto ty jesteś, kim ja jestem?... — i powiedziawszy to przechyliła głowę na poręcz fotelu.

— Matko, droga matko! — zawołał Jan, tuląc ją z kolei w swoich objęciach. — Tak, idzie o Henryettę de Villepreux.. Masz, czytaj!

I podał jej list Honoryusza. Przeczytała go spokojnie.

— Cóż mu odpowiedziałeś?

— Nic... jeszcze matko... Wszak tylko ty możesz mi objaśnić.

— Mogę cię objaśnić... że nie ma... nie ma żadnej odpowiedzi na ten list!... — dokończyła biedna Marya z zatrważającym spokojem.

Poczem, uwalniając się z objęć syna, rzuciła się przed nim na kolana.

— Przebacz mi mój ukochany! Ty nie masz innego nazwiska, prócz mego!... — Nie miała siły dodać ani jednego słowa więcej. Łkania, dotąd powstrzymywane, dławily ją, zamieniły się w jeden płacz spazmatyczny, przerywany czasem niezrozumiałą skargą i urywanemi słowy.

— O matko, moja ubóstwiana matko — zawołał Jan z ogromem miłości — ty którą cześć jak świętą, ty przedemną na kolanach! — Podniósł ją, posadził, a ukląkwszy sam przed nią, okrywał pocałunkiem jej nogi, ręce, oczy, wypijając łzy jej gorącej.

— O, przebacz mi matko! Byłem złym synem, egoistą... przebacz! Ty, usprawiedliwiać się przedemną!... Jakże mogłem być tak niedomyślnym... powinien byłem przecież zrozumieć...

— Nie, nie mów tak czule... zasłużyłam na twój gniew! Kobieta, nie umiejąca strzedz swego honoru, jest winną w obec swego dziecka!

— O przestań! błagam cię!... Przekłeta niech będzie miłość, która staje się przyczyną łez i cierpień mojej matki!...

— Nie, nie złorzecz tej miłości, która dodała mi odwagi do wyznania ci... Jakże obawiałam się, by nie utracić twego szacunku. Już się stało... Ale ty będziesz mnie kochał jak dawniej, nieprawdaż?

— Krajiesz mi serce, matko! Nigdy bardziej nie szanowałem cię, nigdy cię bardziej nie kochałem, jak w tej chwili... Nie mówmy już o tem! Jestem znów twoim Janem, twym synem ukochanym, który już nie opuści cię nigdy, który wyrzecz się wszystkiego... O znajdę w sobie dość siły, by pokonać moją miłość... Czyż nie pozostanie mi twoja miłość i miłość babci Renaud?... Wyobraź sobie, że to wszystko było tylko przykrym snem, że nie stałem się przyczyną twego bólu...

— Nie masz ojca! — zawołała Marya z rozpaczą. — Rodzina de Villepreux nie odda ci ręki Henryetty... A wszak ty ją kochasz, Janie!.. Mówisz, że zapomnisz? Nie, nie! nie byłbyś moim synem, gdybyś się sprzeniewierzył tak szlachetnej

miłości... I to ja zniszczyłam twoje życie!.. złorzeczę chwili, w której zbłądziłam... Posłuchaj mnie! Chcę, abyś wiedział wszystko!

— Nie, matko! nie!

— Czy nie jesteś moim najdroższym synem? Sądzisz może, że będę cierpieć, wyznając ci nędną historię mojej przeszłości? Przeciwnie, poznasz mnie lepiej i będziemy mogli mówić oboje o człowieku, którego tak kochałam... o twoim ojcu, który był dobry i szlachetny, jak ty... Nigdy nie mówię o nim z babką... Rozmawiałam niegdyś z tobą, gdy byłeś jeszcze w kolebce...

Wskazała mu miejsce obok siebie i głosem cichym opowiedziała wszystko, co dotyczyło jej nieszczęśliwej przeszłości. Serca ich były jednym tętnem a Jan biegł myślą do małego mieszkanka przy placu Vosges... widział matkę swoją piękną, przyjmującą z ufnością wizytę Jana Berthier, wierzącą... potem opuszczoną, jej cierpienie, nędzę, mozolne zarabianie igłą... W końcu magazyn przy ulicy Clery, potem piękny magazyn przy ulicy du Sentier, początek majątku...

— I to dla mnie tyle pracy, tyle poświęcenia najdroższa mateczko! dla mnie?...

— Gdybym była ciebie nie miała, byłabym umarła — odpowiedziała Marya.

— A... mój?...
Nie śmiał wymówić „ojciec“.

— Nigdy go już nie widziałam... I po cóż?...
Przypuszczać należy, że życie jego było szczęśliwe... Modliłam się za niego, jak się modli za umarłych... Ale ty, moje dziecko, który tak dobrze umiesz mię pocieszać, opowiedz mi o twojem szczęściu, jakiego doznałeś wczoraj...

— Po co mówić o szczęściu, które już się skończyło!

— Już się skończyło? — zawołała Marya z przejęciem. — I sądzisz, że ja na to pozwolę, żeby mój syn cierpiał, by syn mój padał ofiarą błędu matki?

— Czyż list p. de Villepreux nie mówi wyraźnie, że wszystkie usiłowania spełzną na niczem?

— Mój ojciec uratował życie jednego z de Villepreux! — odrzekła Marya z dumą.

— Mój dziadek uratował życie jednemu z rodziny de Villepreux? — pytał Jan oszołomiony.

— Tak, jak ty ocaliłeś życie twemu przyjacielowi Fryderykowi... Wiesz chyba, ten podoficer, który uniósł sztandar pod murami Sewastopolu... Babcia tak często opowiadała ci tę historię, gdy byłeś dzieckiem...

— Tak jest... ale nie wymieniając nazwiska tego podoficera...

— Ależ powiedziała ci z pewnością... tylko nie przypominasz sobie... Był to brat dzisiejszego markiza...

— Który nie żyje?

— Bezwątpienia.

— Tak, tak — zawołał Jan uradowany, mogąc uchwycić się tej nadziei. — Fryderyk opowiadał mi bardzo nawet z boleścią o bracie swego ojca, który umarł dwadzieścia lat temu... On byłby nam pomógł z pewnością, gdyby żył!

— A zatem wspomnienie o nim nam dopomoże... W tem ciękiem zmartwieniu, widząc cię nieszczęśliwym, nie przyszło mi to wszystko na myśl. Ale nie chcę, abyś był dłużej nieszczęśliwym! Biedne dziecko, które chciałam zasłonić przed troskami życia! Mój Janie ukochany!

Pieściła go i mówiła jeszcze długo, długo, odzyskując odwagę, dając przystęp nadziei...

— Zaufaj mi, mój drogi. Odpocznij, odegnaj zwątpienie z twego serca... Zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, by ci dać ukochaną kobietę!...

Gdy odeszła Jan uspokoił się trochę; zaczął mieć nadzieję. I dopiero po długim prze-

ciągu czasu ośmielił się przeczytać te zwyczajne słowa metryki: „Urodzony z ojca nieświadomego“.

* * *

Marya także miała nadzieję... przynajmniej tak jej się zdawało, gdy się znajdowała obok swego syna. Czyż nie trzeba było osuszać jego łez?

Ale gdy się znalazła sama w powozie, zaczęło ją napawać strachem to, co wyznała swemu dziecku...

— Co począć?... Mój Boże! W jaki sposób przypomnieć się rodzinie de Villepreux? Oni już może zapomnieli o tem, co mój ojciec uczynił dla nich... Czy zechcą nawet mię przyjąć?

I po długiej rozwadze, nie myśląc o swej osobie, lecz o szczęściu syna, przyszła do następującego wniosku:

— Hrabia de Brettecourt jest przyjacielem Jana i to nawet prawdziwym przyjacielem. Dużo ma nawet przyjaciół i dla mnie... sam mi to kiedyś powiedział, a tacy ludzie jak on nie kłamią nigdy!..

Kazała woźnicy wieźć się do gmachu wojskowego, gdzie mieszkał generał de Brettecourt. Tu musiała na niego dłuższy czas czekać, gdyż nie wrócił jeszcze z ministerstwa wojny, gdzie

spędzał większą połowę dnia. Czekaając powtarzała sobie Marya ciągle:

— Ufajmy generałowi... On jeden może nas wprowadzić w ten świat, którego zupełnie nie znamy...

Jednak mimo to doznała wielkiego wzruszenia, gdy oznajmiono jej, iż generał na nią oczekuje.

Znalazła się wkrótce w apartamencie zajmowanym przez generała.

— Ależ pani — odezwał się pierwszy podchodząc do niej uprzejmie pełen uszanowania — trzeba mi było zawezwać do siebie... Byłbym szczęśliwy mogąc znaleźć się u pani...

— Generale!.. Idzie o rzeczy tak ważne, tak niecierpiące zwłoki...

— Spodziewam się, że nie groźnego dla Jana?

— Marya upadła ciężko na fotel. Duma jej przechodziła ostatnią próbę. Miała się sama oskarżyć przed człowiekiem, który żywił dotąd dla niej tak głęboką cześć... utracić może szacunek jego...

— Czy nikt nas nie słyszy? — zapytała.

— Nikt pani, cóż tedy zaszło takiego?

— Do wszystkich dowodów przyjaźni, które pan okazał memu synowi, przyszedł prosić o dorzucenie jeszcze jednego...

— Gdy idzie o Jana, znajdę się wobec niego jak szlachcie średniowieczny. Jeśli to możliwe, już jest zrobione, jeśli niemożliwe to się zrobi...

I aby dodać otuchy biednej kobiecie, wypowiedział te słowa tonem niezmiernie przyjacielskim i szczerym...

Ale na twarzy Maryi wyryta była wciąż straszna walka.

— Byłeś pan tak uprzejmy, że przedstawiłeś mego syna baronowi de Vauchelles. Tam właśnie spotkał on młodą osobę, którą pokochał od pierwszego wejrzenia... Pozostawieni razem ze sobą, oboje wyznali sobie wzajemną miłość...

— Ależ dotąd wszystko jak na najlepszej drodze i domyślam się, że pani chce mi powierzyć zaszczytną misję oświadczenia się w jego imieniu rodzicom tej panny... Będę dumny, mogąc powiedzieć im, do jakiego stopnia kocham tego młodego człowieka, jak uwielbiam go za jego charakter, odwagę i szlachetność uczuć...

— Możeby było lepiej dla niego, gdyby posiadał także szlachetne nazwisko...

— Szlachectwo jest już dzisiaj tylko wspomnieniem... Jan jest godny należeć dziś do najświetniejszej rodziny.

— Młode dziewczę, które mój Jan pokochał,

nosi w istocie bardzo sławne nazwisko — jestto Henryetta de Villepreux!

Na dźwięk tego nazwiska Brettecourt zerwał się, potem usiadł i ciężko oparł się o krzesło.

— Jan kocha pannę de Villepreux... powinienem był to przeczuć... Dałem pani przyrzeczenie bardzo nieroztropne. Rodzina de Villepreux jest jedyną, wobec której niepodobna mi stanąć.

— O mój Boże! — jęknęła Marya i łzy na nowo zabłysły w jej oczach...

— Czy syn pani nie wiedział o tem? czy Fryderyk nie uprzedził go? O, to straszne!.. nieszczęście to wiecznie będzie mnie prześladować. Zechciej pani zrozumieć moje okrutne położenie... Markiz miał starszego brata, którego kochałem namiętnie...

— Jana de Villepreux?

— Tak pani... Był on mi prawie jak bratem, podobnie jak obecnie Jan i Fryderyk... Matka ubóstwiała go.. a ja... podczas ćwiczeń wojskowych, przez jakąś fatalność nadprzyrodzoną — ja... zabiłem go!... Stara markiza wprawdzie przebaczyła mi jako osoba szlachetna i dobra, ale mnie odtąd znać nie chce, i przed oczyma jej znaleźć się nie mógłbym... Ale gdy szczęście Jana tego wymaga, pójdę do niej...

— Ach... dzięki ci panie... — zawołała Marya, wyciągając doń ręce — jakże dobrze uczyniłam, pokładając taką ufność w panu...

— Czy jednak Fryderyk nie mógł się podjąć tego dla swego przyjaciela?...

— Fryderyk już to uczynił, ale markiz odpowiedział memu synowi, by podał mu w pierw pochodzenie jego rodziny... matki... i... ojca!...

— A więc?...

Marya zakryła twarz dłońmi. Nie miała siły wymówić strasznego słowa...

— Dokończ, pani, zaklinam cię — nalegał ogarnięty jakimś strasznym przeczuciem generał...

Marya opuściła ręce i pokazała mu swą twarz okropnie bladą.

— Pan chcesz, abym dokończyła, czyż twarz moja biedna nie mówi tego panu?... Miej pan litość nademną, czy pan mnie nie pojmuje?...

Brettecourt wydał okrzyk pełen zgrozy.

— Ach błagam pana, nie odmawiaj szacunku matce Jana... On ma tylko mnie jedną i nigdy nie miał nikogo prócz mnie...

— Boże... Boże... — wykrzyknął Brettecourt z zapalem — spraw, aby to było prawdą... moje serce mnie nie zawiodło...

Wziął ją za rękę i zaprowadził do dru-

giego pokoju. Na ścianie tuż naprzeciw drzwi wisiał duży portret, zakryty krepą. Pod nim na stole leżał bukiet fiołków.

Generał odsłonił krepę i zapytał:

— Czy znasz pani tego człowieka?

Ledwie domówił tych słów, Marya podbiegła ku portretowi i łkając zawołała:

— O Janie, Janie... mój najukochańszy!...

Potem straciła przytomność skutkiem nadmiaru wzruszenia.

Gdy otworzyła oczy, wzrok jej natychmiast skierował się w stronę portretu człowieka, którego niegdyś tak gorąco ukochała.

Brettecourt siedział obok niej i zwilżał jej lekko czoło chustką zmoczoną w occie.

— Przepraszam cię generale...

— Uspokój się pani — odezwał się miękko i pieszczotliwym głosem — musimy teraz poważnie rozmówić się ze sobą...

Uspokojona czuła troskliwością generała, spytała go nieśmiało, nie podnosząc nań oczu:

— To pan... za...zabiłeś go?...

— Tak...

— Ale jeśli pan byłeś jego przyjacielem, czy mówił kiedy panu co o mnie?

— Tak... raz jeden... i ja panią znałem, nie zna-

jąc jej nazwiska .. Pani pracowałaś wówczas w magazynie bielizny i utrzymywałaś swą matkę, czy tak?...

— W istocie...

-- Czy te wspomnienia nie sprawiają pani bólu?

— Boże .. tak mi przyjemnie mówić o nim, z takim jak pan człowiekiem...

Marya mówiła to głosem ogromnie pieszczotliwym. Przeszedłszy tyle w życiu, pragnęła zaskosztować teraz choćby szczęścia wspomnień. Mówiła więc dalej, jakby senna:

— Nieprawdaż jak mój Jan jest podobny do niego?

— Żywy portret... dla tego pokochałem go od razu, nie wiedząc nawet kim był.

W tej chwili jednak cała groza rzeczywistości znowu stanęła przed oczyma Maryi. Spojrzała na portret załzawionemi oczyma i skarżyła się:

— Czemu nas opuściłeś? Syn twój byłby dzisiaj tak dumny a hańba jego urodzenia nie stałaby na drodze do jego szczęścia.

— Jan nie opuścił was, pani — zaprzeczył żywo generał. — Stał on się tylko ofiarą nieprzewidzianego przypadku...

— Jakto nie opuścił nas? — pytała oszołomiona tymi wyrazami kobieta.

— Pani — odparł pułkownik — on nie nazywał się Jan Berthier!... On się nazywał...

W tem miejscu generał zatrzymał się, przeżony gwałtowną zmianą wyrazu twarzy Maryi.

— Łaski, litości panie — łkała — nad kobietą, która przez miłość macierzyńską wyznała ci swój błąd.

— Pani, mówisz o swoim błędzie, pani święta i szlachetna kobieta, pani, której szukałem tak długo napróżno, która wypełniłaś całe moje życie, którą kocham jak siostrę już od lat dwudziestu kilku...

I rzucił się przed nią na kolana...

— O przebacz mi — mówił — przebacz mi święta istoto, w imię twego syna i w imię twego najukochańszego. Bo on nie opuścił cię, tylko umarł... i nie mógł się z tobą przedtem zobaczyć...

— Jan umarł?

— Tak... i to ja... ja... jego przyjacieli, brat jego, ja byłem jego mordercą!...

— Pan?...

— Ja!... On nie nazywał się Jan Berthier... On się nazywał... Jan d'Angoville markiz de Villepreux!...

K O N I E C.

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy K. O. S. B.
w Białymstoku

572